

Archiwum Misyjne
Karmelitów Bosych

Biuletyn misyjny

Nr 14

Biuletyn informacyjny o dziele Misji zagranicznych Polskiej Prowincji
Zakonu Karmelitów Bosych

1977

POZNAŃ

Karmelitańskie Misje w Afryce

SPIS TREŚCI:

O. Kamil Lapauw OCD – Służba świętości na rzecz Kościoła

O. Bogusław Woźnicki – Nasi misjonarze

O. Bogusław Woźnicki – Czy trędowaci w Burundi otrzymają szpital?

Wiadomości misyjne

LISTY MISJONARZY

List O. Teofila Kapusty do Matko Generalnej Sióstr Służek Maryi w Smogorzewie
- Musongati, 6 maja 1976

List O. Teofila Kapusty do Przyjaciół – Mpinga, 6 września 1976

List O. Teofila Kapusty do Przyjaciół – Mpinga, grudzień 1976

List O. Teofila Kapusty do Przyjaciół – Mpinga grudzień 1976
List Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus do Przyjaciół Misji
- Msongati, 25.08.76
List Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus do Przyjaciół Misji
- Boże Narodzenie 1976 – Musongati
List biskupa Ruhuny – Ruyigi, 25.08.76
List O. Nazariusza Kwiatkowskiego – Musongati, 29.XI.76
List O. Nazariusza Kwiatkowskiego do Przyjaciół Misji
- Burundi, grudzień 1976
List O. Józefa Trybały – Musongati, 29.XI.1976
List O. Bogusława Woźnickiego – Wigilia pod Krzyżem Południa
- Musongati – Boże Narodzenia
List O. Bogusława Woźnickiego – List do Ojca Albina, Burundi 1976
List O. Bartłomieja do Ojca Bogusława – Mpinga, 20.XII,1976

O. Kamil Lapauw OCD

SŁUŻBA ŚWIĘTOŚCI NA RZECZ KOŚCIOŁA

Część II

O wyborze drogi zdecydowała podróż do Rzymu

„W ciągu tego miesiąca spotkałam wielu świątłych kapłanów i widziałam, że chociaż wzniosła godność wynosi ich ponad aniołów, to jednak pozostają ludźmi słabymi i ułomnymi... Jeśli nawet święci kapłani, których Jezus nazywa w swojej Ewangelii „solą ziemi” przez swój sposób życia pokazują, jak bardzo potrzebują modlitwy, to co dopiero powiedzieć o oziębłych? Czyż Jezus nie powiedział również: „Jeżeli sól utraci swój smak, czymże się solić będzie?” O Matko! Jakże piękne jest powołanie, mające na celu zachowanie soli przeznaczonej dla dusz. To jest właśnie powołanie Karmelu, ponieważ jedynym celem naszych modlitw i ofiar jest to, abyśmy jako apostołki Apostołów błagały za nimi, podczas gdy oni głoszą duszom Ewangelię słowami; a nade wszystko przykładem.²”

Podczas podróży do Włoch poznała więc Teresa, że nie wszyscy księża są święci, a ci także przecież potrzebują modlitwy za nich samych – lecz są także oziębli, którym grozi niebezpieczeństwo, że nie odpowiedzą swojemu powołaniu i nie wypełnią dobrze własnych zadań. Odtąd uważała Ona za swoje osobiste powołanie wstawiać się do Boga za kapłanów.

1 Mt. 5.13

2 Św. Teresa od Dzieciątka Jezus, Pisma t. I

Podczas kanonicznego egzaminu przed Profesją oświadcza z naciskiem: „Przyszedłem do Karmelu, aby ratować dusze, a zwłaszcza modlić się za kapłanów”. Gdyż już prawie rok temu dowiedziała się, że są także źli kapłani, 14-go lipca 1889 r. pisze do swojej siostry: „O moja Celinko, bądźmy Apostołkami. Ratujmy zwłaszcza dusze kapłanów, one powinny być przeźroczystsze od kryształu... Ale, niestety! Iluż jest złych księży! Módlmy się, ofiarujmy za nich nasze cierpienia”. Szczególnie wstawiała się za zakonnika, apostatę, o. Jacka Loyson, który w całej Francji głosił szkodliwe dla Kościoła wykłady i wzniewał tym sensację. Jeszcze swoją ostatnią Komunię św. dnia 19 sierpnia 1897 r., który był dniem św. Jacka – ofiarowała Święta za niego. Istotnie prawdą było to, co napisała do Celiny: „Bądźmy niestudzone w swych modlitwach, ufność działa cuda”. A dalej: „Ofiarujmy Ojcu naszemu, który jest w niebie, nie nasze zasługi, ale zasługi naszego Oblubieńca, aby jeden z braci naszych odnalazł drogę powrotną”³. Tym razem nie prosiła Ona już Boga o „znak”, jak przy Pranzinim, swoim „pierwszym dziecku”, jak chętnie nazywała mordercę. Była głęboko przekonana, że Bóg ją wysłucha. Jej ufność nie została zawiedziona, gdyż ekskomunikowany zakonnik umierając powtarzał bez przerwy: „O, mój cichy Jezu!”

Karmelitanka i Misjonarka

Coraz szersze horyzonty otwierały się przed wzrokiem młodej karmelitanki. Ona, która świadomie zrzekła się działalności na misjach, przeżywa w siedem lat po wstąpieniu do ściśle klauzurowego klasztoru ogromną radość z tego, że otrzymała za duchowego brata młodego seminarzystę, który chciał być misjonarzem, a którego Ona miała wspierać swymi modlitwami i ofiarami: „Spełnienie mego pragnienia w sposób tak nieoczekiwany, aby mieć brata, który jest księdzem, zrodziło w mym sercu radość, którą nazwałabym dziecięcą, bo musiałabym wrócić do dni mego dzieciństwa, by odnaleźć wspomnienie radości tak żywych, że dusza nie jest zdolna ich pomieścić. Od lat nie przeżyłam podobnego szczęścia”.⁴... „To było tak, jakby po raz pierwszy dotknięto strun pozostających dotąd w zapomnieniu. Zdawałam sobie sprawę z przyjętych zobowiązań, toteż wzięłam się natychmiast do dzieła, podwajając swoją gorliwość... Nie ulega wątpliwości, że przede wszystkim modlitwą i ofiarą przynosi się pomoc misjonarzom.”⁵ W rok później, 30 maja 1896 r., zaproponowała Jej matka Gonzaga, aby objęła duchową opieką innego misjonarza, będącego w przededniu święceń kapłańskich i mającego wkrótce wyjechać. Teresa wzbraniała się najpierw, lecz gdy Matka Przeorysza zapewniła Ją, że posłuszeństwo podwoi Jej zasługi, przyjęła ten obowiązek. Zrozumiała, że gorliwość karmelitańska powinna obejmować cały świat.

Wśród ciemności Jej pokus przeciwko wierze dokonał się przełom i stanęły przed Nią nieogarnione przestrzenie. Teresa, która niedawno obawiała się, że drugiemu misjonarzowi nie będzie w stanie przynieść pomocy, pojmuje teraz, że Jezus chce wypełnić Jej życzenia,

3 List do Celiny 8. 07. 1891

4 Pisma t. I

5 Pisma t. I, s. 213

które są większe niż cały świat, przekraczają przestrzeń i czas: „Mam powołanie Apostoła... chciałabym przebiegać ziemię, głosić Twoje Imię i umieszczać w ziemi niewiernych Twój chwalebny Krzyż. Ale, o mój Ukochany, jedno posłannictwo mi nie wystarczy, chciałabym w tym samym czasie głosić Ewangelię w pięciu częściach świata, aż po najbardziej odległe wyspy... Chciałabym być misjonarzem nie tylko przez przeciąg kilku lat, lecz od stworzenia świata aż do dokonania wieków.⁶”

Córka Kościoła

Jednakowoż Teresa czuje w sobie powołanie nie tylko na apostoła. Ona nie zadawała się tym, że jest karmelitanką, Oblubienicą Jezusa i matką dusz; pali się pragnieniem, aby być Wojownikiem, Kapłanem, Doktorem, Męczennikiem, czuje w sobie pragnienie dokonania dla Jezusa wszystkich czynów najbardziej bohaterskich. Jakże połączyć te sprzeczności, pyta siebie trzeźwo. Jednak wie z doświadczenia, że Pan Bóg nie daje pragnień niemożliwych do zrealizowania. W pierwszym liście do Koryntian znajduje upragnioną odpowiedź. Tu odkrywa Ona tajemnicę Mistycznego Ciała Chrystusa, tajemnicę Kościoła. Tak jak św. Teresa z Avila, chce Ona być „córką Kościoła i modlić się w intencjach Ojca św., wiedząc, że jego intencje obejmują cały świat”⁷. Zaś swojej siostrze Marii pisze: „zglębiając tajemnicę Mistycznego Ciała Kościoła, nie rozpoznawałam siebie w żadnym z jego członków wymienionych przez św. Pawła; a raczej chciałam odnaleźć się we wszystkich... Miłość dała mi klucz do mego powołania. Zrozumiałam, że skoro Kościół jest ciałem złożonym z różnych członków, to nie brak mu najbardziej niezbędnego, najszlachetniejszego ze wszystkich. Zrozumiałam, że Kościół posiada serce i, że to serce płonie miłością, że jedynie miłość pobudza członki Kościoła do działania i gdyby przypadkiem zabrakło Miłości, Apostołowie przestaliby głosić Ewangelię, Męczennicy nie chcieliby przelewać swojej krwi... Zrozumiałam, że Miłość zamyka w sobie wszystkie powołania, że Miłość jest wszystkim, obejmuje wszystkie czasy i wszystkie miejsca...jednym słowem jest wieczna... Zatem uniesiona szalem zawołałam: O Jezu, Miłości moja... nareszcie znalazłam moje powołanie, moim powołaniem jest Miłość!... Tak, znalazłam moje miejsce w Kościele, a to miejsce, mój Boże, Ty sam mi ofiarowałeś... W Sercu Kościoła, mojej Matki, będę Miłością... w ten sposób będę wszystkim i moje marzenie zostanie spełnione!⁸”

Teresa przeżywa coraz bardziej i głębiej swoje powołanie, jako funkcję wewnątrz Kościoła, jako służbę świętości na rzecz wszystkich członków Kościoła, rozproszonych po całej ziemi. Ukryta w społeczności Świętych, których prosi o ich podwójną miłość, rzuca się jak bystry strumień, który wpada do oceanu – ku Jezusowi, wiedząc, że tym samym pociągnie wszystkich, których Jej Bóg powierzył, w ten gwałtowny ruch miłości⁹. Wie Ona, że teraz

6 Pisma t. I, s. 253

7 j. w. 314

8 j. w. 254

9 Por. j. w. 316

może pozyskać wszystkich ludzi wszystkich czasów, jeśli zajmie to ukryte miejsce wewnątrz Kościoła i na nim wytrwa.

c. d. n.

NASI MISJONARZE

Spełniam obietnicę daną w ostatnim zeszycie Biuletynu i chcę dzisiaj opowiedzieć o pracy dalszych ojców misjonarzy w Burundi.

Jak pamiętamy, do pracy na terenie swojej diecezji w Bururi, przyjął nas J. E. Ks. Bp Józef Martin. W międzyczasie ks. Biskup zrezygnował ze swego stanowiska. Wysoko postawiona diecezja została podzielona na dwie części. Jedna pozostała jako Bururi, z drugiej utworzono nową diecezję Ruyigi i tę oddano ks. Joachimowi Ruhuna. Mpinga i Musongati zostały przydzielone do Ruyigi. I w ten sposób nasi ojcowie znaleźli się w tych miejscowościach, w których zamierzali pracować, ale w innej diecezji i pod innym ordynariuszem.

Diecezja Ruyigi składa się z 10 parafii. Największą z nich była Mpinga. Liczyła około 50.000, w tym 27 tys. katolików, 5.000 ewangelików i resztę animistów. Musongati było tylko filią Mpinga. W powietrznej linii odległość nie jest wielka, górskimi ścieżkami, bo tak trzeba nazwać tamtejsze drogi – 3 godziny jazdy samochodem. Ojcowie zaproponowali podział tej parafii na Mpinga i Musongati. Ksiądz Biskup zgodził się. W roku 1974 została utworzona jako samodzielna placówka misyjna - parafia w Musongati

O ile Mpinga, jak na warunki afrykańskie jest wspaniale urządzone, to w Musongati była kaplica z niepalonej cegły, kryta trzcina, rozwalający się domek z gliny ulepiony dla misjonarza, który tutaj raz w miesiącu zaglądał na trzy dni i sezonowa szkoła misyjna.

Trzeba było dużej odwagi, aby tutaj zamieszkać! Misjonarze to ludzie na szczęście odważni i z fantazją. Znaleźli i glinę i wodę do wyrobu cegły. Uzyskali pozwolenie na budowę domu misyjnego i zakasawszy rękawy zabrali się do pracy. W kilka miesięcy stanął wcale okazały domek. Poprawili walącą się kaplicę, rozbudowali szkołę. Do istniejącego ośrodka zdrowia, dobudowali maternite tak, że gdy po roku przyjechał ks. biskup Ruhuna na poświęcenie domu, wierzyć nie chciał, że znajduje się w Musongati! Ten domek tak się wszystkim podoba, że w dzień Bożego Narodzenia przyszedł z życzeniami gubernator Musongati i prosił O. Jana Kantego, by taki sam zbudował dla niego. Powiedział, że ma pieniądze, materiał, ludzi. Podziwiał ten domek również O. Feliks Zapłata w czasie swojej podróży po Burundi.

Jest to dzieło naszych braci misjonarzy: brata Marcelego i brata Sylwestra. Gdy jest dom, to już nie trudno wygospodarować i kancelarię, i poczekalnię, nie mówiąc już o zapleczu gospodarczym. Mając dom, mogli Ojcowie przystąpić do organizowania życia religijnego w nowo powstałej parafii. Zresztą, tu w Afryce, a w szczególności w Burundi nigdzie nie musimy zaczynać całkiem od nowa. Kościół afrykański już istnieje i musimy za to dziękować Bogu. Istnieje jednak w takiej postaci, jaką nadali mu misjonarze w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat. A dzieło to zostało wykonane solidnie.

Jedno można zarzucić misjonarzom: za bardzo zeuropeizowali kościół afrykański. A życie wykazuje, że działalność misyjna tylko wtedy będzie owocna, gdy będzie działalnością

realistyczną, kiedy postępować będzie nie według idealnych założeń, lecz biorąc pod uwagę istniejącą sytuację.

Drugim błędem w działaniu misjonarzy ostatniego półwiecza, to zbyt mała troska o kler tubylczy. Powtarza się tutaj nieroztropność misjonarzy XVI i XVII wieku, którzy w Afryce mieli poważne osiągnięcia. Były nawet państwa chrześcijańskie, jak królestwo Bantu. Syn króla, don Henriquez został biskupem kraju. Z chwilą, kiedy ustał dopływ misjonarzy z Europy, bo Portugalczycy zastrzegli sobie, że nie-Portugalczyk nie może być misjonarzem w Afryce, z chrześcijaństwa nie pozostało śladu.

Dziś nawróciłoby się całe Burundi, ale na białych misjonarzy trudno liczyć. Europa przeżywa kryzys powołań, a czarnych tu, w Burundi brak.

Sytuację Kościoła w Burundi charakteryzuje skala rozwoju Kościoła, obecność wielu rzeczy już bardzo głęboko wbudowanych, brak oddanego sprawie personelu i odpowiednich zasobów oraz pewna bierność miejscowego Kościoła, czego dowodem jest milczenie Episkopatu w czasie rewolucji, o której poprzednio pisałem.

Inny problem, z którym spotkali się misjonarze, to kolosalna różnica w standardzie życia. Jaki jest właściwy przykład sposobu życia, którego powinniśmy uczyć naszych czarnych braci, aby go przyjęli jako standard życia cywilizowanego: czystości, bezpieczeństwa, zdrowego odżywiania w porównaniu z ich niskimi dochodami i nad miarę wielkimi rodzinami? Gdzie zaczyna się luksus, a gdzie granica roztropności? Byli misjonarze, którzy mieszkali w szałasach, pili niegotowaną wodę, odżywiali się fasolą i maniokiem, ale po kilku miesiącach takiego trybu życia wykańczali się!

A tymczasem Czarni przyswajają sobie nie tylko to co słyszą, lecz i to co widzą. Nic więc dziwnego, że kleryk z naszej parafii, zapytany o plany na przyszłość, bez żenady odpowiedział, że marzy o tym, by pojechać do Europy, uzyskać doktorat na jednym z uniwersytetów, zdobyć samochód, a potem zostać profesorem na uniwersytecie w Bujumbura!

Ale ja go rozumiem. Trudno jest uczyć naszych bliźnich miłości, kiedy samemu jest się sytym, a wokoło, jak w wigilijną noc, obok nas stoją ludzie głodni. Nasz dom w Musongati może podzielić się tym, co posiadamy z kilkoma, ale nie ze setkami. Dlatego misjonarze, jak O. Eliaz, O. Józef pytają: Gdzie jest granica tego, co możemy i powinniśmy robić? Ale mnie się wydaje, że tej granicy nie osiągniemy, a na pewno nie w wielu wypadkach.

Obalony 1 listopada 1976 r. prezydent kraju Michael Mumbere, chociaż praktykujący katolik, był w dużym stopniu anty-europejczykiem. Nie odrzucał istoty naszej nauki, ani naszej pracy, ale europejską supremację. Nie jeden raz dawał do zrozumienia, że aby zostać całkowicie zaakceptowanym przez nich, powinniśmy raczej pracować z nimi, aniżeli dla nich. To zaś oznacza: tolerancję, cierpliwość i pokorę w dzieleniu się z nimi naszą wiedzą techniczną i umysłową.

Oddanym Trzeciemu Światu misjonarzom i misjonarkom należy się uznanie za wnoszenie światła do ciemności i podciąganie naszych braci do odpowiedniego poziomu, celem włączenia ich do szybko rozwijającego się świata i rozbudzenia poczucia zależności od siebie samych, od własnej techniki i wiedzy.

Szybko kruszą się stare wierzenia, zwyczaje i wzory życia społecznego, a jeśli nie zapełnimy tej pustki nowym Życiem Wiary i Miłości Chrześcijańskiej, nieprzyjaciel łatwo może wziąć górę, szerząc frustrację, despotyzm, nienawiść!

Nasi misjonarze rozumieją bardzo dobrze, że ich najistotniejszym obowiązkiem jest dzielić się z drugimi darem naszej wiary, pomagać Bogu w przeistoczeniu świata.

Nasi misjonarze zostali serdecznie przyjęci, bo rozumieją i okazują to w czynie, że nie ma narodów wyższych i niższych. Każdy naród ma swoją własną godność, swoje wartości kulturowe, swoje wielkie zbiorowe zalety. Trzeba pracować wśród nich z szacunkiem i badać do głębi ich kulturę, aby zrozumieć, że wcale nie jesteśmy wyżsi. Jesteśmy braćmi, którzy przybywają po to, aby im przyjść z pomocą.

Mpinga 1976

O. Bogusław Woźnicki
Sekretarz Misji Karmelitańskich

CZY TRĘDOWACI W BURUNDI OTRZYMAJĄ SZPITAL?

31 sierpnia ubiegłego roku minęły pięć lat od przybycia do Burundi jedenastoosobowej grupy polskich Karmelitów Bosych. Historię tych pięciu lat stanowi twarda, pełna wyrzeczeń praca misjonarzy, podjęta natychmiast po opanowaniu miejscowego języka kirundi. Początkowo terenem ich pracy jest diecezja Bururi. W kwietniu i maju 1972 r. wybuchają w Burundi bratobójcze walki plemienne, tak krwawe, że opinia światowa nazwała je ludobójstwem. Polscy karmelici, wykazali w tym tragicznym okresie odwagę i hart doświadczonych misjonarzy.

Już po roku pisze o nich ks. bp Józef Martin ze Zgromadzenia Ojców Białych: „Dziękuję Bogu bardzo za to, że pod koniec swojego urzędowania doczekałem się misjonarzy z prawdziwego zdarzenia, a są nimi Ojcowie Karmelici z Polski”.

Odbywszy staż rozpoczynają samodzielną pracę misyjną, przejmując w kwietniu 1973 r. parafię Mpinga. W styczniu 1974 obejmują drugą placówkę misyjną – Musongati. Obydwie wchodzi w skład nowo-utworzonej diecezji Ruyigi, leżącej w południowo-wschodniej, górzystej części kraju. Wobec całkowitego braku opieki lekarskiej na terenie powierzonych im parafii i wobec mnóstwa chorych, planują misjonarze budowę ośrodka zdrowia, szpitali, zwłaszcza dla trędowatych. Z braku dostatecznych funduszy realizacja tych zamierzeń stale ulega zwłoce.

O. Teofil Kapusta w jednym z listów pisze:

„Pracę (tj. budowę) wykonamy sami. Wprawdzie to nie takie proste przy pracy duszpasterskiej, ale musimy! Los dzieci, los trędowatych nie daje nam spokoju. Wiosną w czasie moich podróży po kraju, odwiedziłem schroniska dla trędowatych w innych rejonach kraju. „Schronisko” to brzmi wspaniale. W rzeczywistości, to kilka maleńkich chat z trawy, gałęzi i błota, w których żyje gromada przeżartych już trędem staruszków i gromada młodych jeszcze matek z dziećmi, których czeka ten sam los. Z jaką wdzięcznością przyjmują odwiedziny, odwiedziny człowieka, który

raczył zaglądnąć do ich zagrody, zagrody nędzy i choroby. Byłem z kilku siostrami zakonnymi. Witając się z tymi ludźmi zdecydowaliśmy się uścisnąć, ucałować, wziąć na ręce dzieci. To było dla nich wielkie wydarzenie, wielkie święto. Wielu korzystało ze spowiedzi. Mój Boże! Tak niewiele potrzeba by ulżyć tym ludziom... a tymczasem, co dla nich robimy? Nie chodzi mi w tej chwili o skalę światową, choć boli świadomość, że cena dwu lub trzech samolotów bombowych na rok, mogłaby uratować trędowatych świata całego, a nie można tej ceny uzyskać... ale chodzi mi o własną postawę... Co zrobiłem, co robię, by ulżyć im w straszliwym losie? Jak to możliwe, że tyle lat mogłem żyć tak, jakby tych ludzi nie było na świecie? A przecież tyle się o nich słyszało, tyle czytało... Okazuje się, że tak w sprawach Bożych jak i ludzkich – nie wystarczą słowa, że trzeba koniecznie widzieć, dotknąć... Wiem, kiedy się widzi, kiedy się dotyka, to chwieje się świat. Tak mnie się wtedy zachwiał... Bo jakaż miara cierpienia, znoszonego z poddaniem się woli Bożej... a z drugiej strony, jakaż miara obojętności naszej? Jakaż miara myślenia o sobie, o swoich wygodach... i jaka będzie kiedyś miara, gdy usłyszymy: Byłem chory... zżerany trędem... Kiedy Cię widzieliśmy Panie? No właśnie, kiedy? Trzeba bowiem zobaczyć, nie wystarczy usłyszeć tylko! Tak bardzo bym pragnął, Kochani, byście zobaczyli poprzez to moje widzenie. Może wtedy razem coś będziemy mogli zrobić dla nich. Nie na światową pewnie miarę, ale na miarę naszej miłości w Chrystusie Jezusie”.

I dalszy wyjątek z listu z 5 czerwca 1976 r.:

„Nasze misje są położone w sercu buszu, gdzie trąd się panoszy i wcale nie jest objęty sanitarna opieką. To prawda, że na kilka naszych stacji dojeżdża siostra, by zanotować nowe wypadki trądu, by rozdawać lekarstwa. To już coś, ale jakże jeszcze daleko do jakiegoś rozwiązania problemu.

Próbuję zebrać o pomoc, bo oni nawet rąk nie mają, by je wyciągnąć do braci, ale nie łatwo pomoc uzyskać. Nie tracę jednak nadziei, a tym wszystkim, którzy przesłali ofiarę dla naszych trędowatych, bardzo, bardzo serdecznie w ich imieniu dziękuję. Bóg stokrotnie zapłaci! Mimo trudności nie rezygnujemy z myśli o budowie skromnego leprozorium, tym bardziej, że nasza s. Zygmunta jest przygotowana do objęcia opieką także trędowatych”.

Siostra, o której wspomina o. Teofil jest lekarką. Przybyła z Polski do Burundi w 1973r. wraz z trzema towarzyszkami, siostrami Karmelitankami Dzieciątka Jezus.

Odpowiedź na pytanie zawarte w tytule zależy w dużej mierze od nas. Burundi – to kraj, który zajmuje trzecie miejsce na liście 25 najuboższych krajów świata, zatwierdzonej przez XXVI Zgromadzenie Ogólne ONZ.

Niech ofiara złożona na budowę szpitala dla trędowatych w Burundi będzie świadectwem naszego pojednania z Bogiem i ludźmi w Roku Świętym. Datki na ten cel można kierować na następujący adres:

O. Bogusław Woźnicki
Sekretarz Misji OO. Karmelitów Bosych
Ul. Działowa 25
60-967 POZNAŃ

WIADOMOŚCI MISYJNE

2 listopada 1976 r. agencje europejskie podały wiadomość o bezkrwawym przewrocie politycznym w Burundi.

Dotychczasowy prezydent Michael Micombero został obalony przez pułkownika szefa sztabu generalnego.

Jean Baptiste Bagaza, nowy władca Burundi ma dopiero 32 lata. Szkołę wojskową ukończył w Belgii. Przed zamachem uchodził za drugiego człowieka w dowództwie armii. Jego rząd złuzował reżim 36-letniego Micombero, który również doszedł do władzy drogą zamachu.

Pod rządami Micombero doszło do rzezi plemienia Bahutu. Oblicza się, że zginęło wówczas ponad 300.000 przeważnie młodych ludzi.

Zamach stanu Bagazy jest 40-tym - w ostatnich dziesięciu latach na terenie wolnych państw afrykańskich.

W ostatnich dniach Starego Roku, nowy władca przyjął na specjalnej audiencji biskupów swego kraju, którzy mieli mu przyrzec całkowite poparcie. O. Teofil pisał, że misja nasza nie ucierpiała i myślą, że nowy prezydent, praktykujący katolik, będzie sprzyjał dziełu ewangelizacji Burundi.

Niepokojące wiadomości doszły z Rodezji, gdzie z ręki tamtejszych nacjonalistów zginął ks. bp Schmidt. Wraz z jednym misjonarzem i s. misjonarką zostali zamordowani w samochodzie. Druga s. misjonarka została ciężko ranna. Biskup – męczennik pochodził NRF z diecezji wurzburskiej. W roku 1974 zrezygnował z urzędu ordynariusza, by mógł rządzić biskup czarny. Biskup Schmidt był zakonnikiem ze zgromadzenia misjonarzy Marianhill.

Kościół w Mozambiku liczy aż 9 diecezji, ale posiada tylko 374 księży, w tym 38 czarnych. Prawie połowa księży, to zakonnicy różnych zgromadzeń. Zakonnicy jest 747, ale tylko 190 czarnych.

Bardzo trudne chwile przeżywa Kościół w Gwinei Równikowej. Już po Nowym Roku miejscowy rząd zamknął trzy seminaria duchowne. Żadna z trzech diecezji nie posiada biskupa.

Caritas austriacki przekazał w minionym roku 119 milionów szylingów na cele charytatywne, przeważnie dla krajów Trzeciego Świata m. in. do Burundi.

1066 Ojców Karmelitów Bosych pracuje na terenach misyjnych, z tego:

- 474 w Azji,
- 68 w Afryce,
- 477 w Ameryce Południowej,
- 47 w Ameryce Środkowej.

Na terenach misyjnych znajduje się również 80 klasztorów klauzurowych Sióstr Karmelitanek Bosych, które za przykładem św. Teresy od Dzieciątka Jezus współpracują z misjonarzami przez modlitwę i ofiarę.

Siostry Karmelitanki, żyjące poza klauzurą, jak np. Siostry Karmelitanki św. Teresy z Florencji, Siostry Karmelitanki św. Teresy od Dzieciątka Jezus z Turynu, Małe Siostry Teresy z Lisieux z Imoli, Karmelitanki Dzieciątka Jezus z Balic i wiele kongregacji hiszpańskich

współpracują z ojcami misjonarzami na wszystkich placówkach powierzonych pieczy Naszego Zakonu.

Paczki do Burundi można wysłać tylko przez Sekretariat w Poznaniu ul. Działowa nr 25, kod pocztowy 60-967.

W ubiegłym roku wysłaliśmy 62 skrzynie o łącznej wadze 9.200 kg. W tym roku przygotowujemy wysyłkę na Wielkanoc. Nie wolno wysłać konfekcji dziecięcej i żywności oraz leków z importu.

LISTY MISJONARZY

Listy O. Teofila:

Musongati, 6 maja 1976

+ Do Przewielebnej Matki Generalnej Sióstr Służek Maryi w Smogorzewie.

Przewielebna i Droga Matko!

Doszła do afrykańskiego buszu radosna wiadomość, że Czcigodne Siostry Służki Maryi są gotowe podjąć pracę na niwie misyjnej. Wprawdzie ta Boża niwa jest bardzo rozległa, ale może Czcigodne Siostry zechciałyby wybrać jako teren swej pracy Burundi. Potrzeby tutejszego młodego Kościoła są ogromne właśnie teraz, w tej „szczególnej godzinie Kościoła w Burundi”. Ponieważ ten jeden z trzech najbiedniejszych krajów Afryki, nie jest w stanie zapewnić swym licznyim mieszkańcom utrzymania, jest pewne, że w przeciągu 10 – 15 lat jakieś 3 – 4 miliny Burundczyków będzie musiało pójść na emigrację do krajów ościennych. Chodziłoby o to, żeby poszli na emigrację z wiarą na tyle silną, by jej nie tylko nie stracili, ale owszem, by ją nieśli ludom, wśród których wypadnie im żyć. Dlatego właśnie potrzeba nam dzisiaj na gwałt licznych misjonarzy i misjonek.

Byłbym szczerze wdzięczny za list od Drogiej Matki Generalnej wyrażający zgodę Zgromadzenia na podjęcie pracy misyjnej właśnie w Burundi. To pozwoliłoby na podjęcie dalszych starań w tej sprawie.

Piszę „na gorąco” zaraz po otrzymaniu wiadomości. Nie miałem więc czasu porozmawiać na ten temat z naszym Biskupem, ale znając ogromne potrzeby naszej diecezji jestem przekonany, że będzie całym sercem za przyjęciem Drogich Sióstr. Przy najbliższej okazji rozmawiam z nim, by się dowiedzieć, jaki rodzaj pracy zaproponowałby Drogim Siostrom.

Normalnie misjonarki prowadzą w parafiach: ośrodek zdrowia, katechizację i foyer social czyli szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt, ewentualnie także dla chłopców. Byłoby zatem dobrze wśród ewentualnych misjonek przewidzieć siostry: pielęgniarki, katechetki, krawcowe.

Według ogólnych zasad wśród dobrowolnie zgłaszających się do pracy misyjnej, należałoby wybrać siostry zdrowe, zdolne do zgodnego współżycia, posiadające zdrowy

zmysł dobrego humoru (misjonarka musi często umieć pośmiać się nawet z samej siebie), nie przekraczające 40-tego roku życia, bo jak uczy doświadczenie, starszym trudno przystosować się do nowych warunków życia w tropikalnym klimacie i trudno nauczyć się nowego języka. Przyszłe misjonarki musiałyby nauczyć się języka francuskiego. Pielęgniarki musiałyby zrobić kurs medycyny tropikalnej w Antwerpii. Informacji na ten temat mogłyby udzielić Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus, Sosnowiec, ul Wiejska 25. Mają one już pewne doświadczenie w organizowaniu wyprawy misjonek właśnie do Burundi. Przydałoby się też misjonarkom prawo jazdy.

W kraju do otrzymania paszportu było wymagane odbycie kursu organizowanego dla wyjeżdżających misjonarzy przez Wydział do Spraw Wyznań. Kurs odbywa się bodaj na przełomie maja i czerwca. Informacji może udzielić Biuro Misyjne, Warszawa, Przyrynek 2.

Praktycznie: nie wiem, czy Drogie Siostry Misjonarki zdążyłyby wyjechać z kraju tak, by podjąć kurs medycyny tropikalnej we wrześniu? Można by jednak wyjazd ten rozłożyć, że najpierw przyjechałyby do Burundi dwie Siostry nie potrzebujące kursu medycyny tropikalnej. One poznałyby tutejszą sytuację i przygotowały miejsce na przyjęcie następnych sióstr.

Do otrzymania paszportu będzie potrzebne zaproszenie z Burundi, dlatego będą nam potrzebne dane osobiste przyszłych misjonek: imię i nazwisko, data i miejsce urodzenia, imiona rodziców, nazwisko panięskie matki, miejsce stałego i tymczasowego zamieszkania.

Muszę jeszcze zaznaczyć, że nie wiem, czy będzie możliwość zatrudnienia Drogich Sióstr w parafiach prowadzonych przez polskich karmelitów. To zależeć będzie od ogólnego planowania rozwoju diecezji. Ostatecznie jednak przestrzenie w maleńkim kraju nie grają wielkiej roli, zwłaszcza na terenie jednej diecezji, więc gdyby Drogie Siostry domagały się opieki duchowej polskiego kapłana, można by takową zapewnić.

Będziemy się gorąco modlić, by Czcigodne Zgromadzenie mężnym sercem podjęło trud misyjnej posługi dla Bożej Chwały. Praca misyjna ożywi nowym tchnieniem ducha Zgromadzenia i przyczyni się do jego rozwoju, bo przecież Pan nie pozwoli się prześcignąć w miłości i siostry „oddane” do pracy misyjnej wróci stokrotnie w postaci nowych powołań.

Oczekując listu, łączę serdeczne pozdrowienia w Panu tak dla Czcigodnej Matki Generalnej jak i dla całego Zgromadzenia!

Oddany w Jezusie i Maryi

O. Teofil Stan. Kapusta OCD
D. Sp. 119 – Bujumbura
MPINGA
BURUNDI – Afrique

Mpinga, 6 września 1976

+ Drodzy Przyjaciele!

Bardzo serdeczne pozdrowienia w Panu przesyłam!

Wakacje bywają u nas bardzo zajęte, bo wiele prac można wykonać tylko w okresie suszy, dlatego dzisiaj dopiero zdobywam się na list.

Co robiliśmy w czasie wakacji?

W Mpinga: zrobiliśmy i wypaliliśmy około 40.000 cegieł. Starą kaplicę w Gigu, której dach groził zawaleniem, przebudowaliśmy na piękny kościół, który 29 sierpnia poświęcił bp Joachim Ruhuna. Święto to było wielkie i radość wielka. Tłumy ludzi nie pomieściły się w nowej świątyni. Przy kościele zbudowano nowy domek dla księdza.

Trochę czasu zajęło wykończenie foyer social. Pomógł w tym bardzo nam pan „Szwagier”, który zrobił 120 taboretów i 30 stołów dla nowej szkoły gospodarstwa.

Innych prac zaplanowanych na wakacje nie udało się wykonać. Zabrakło cementu i zabrakło sił.

W Musongati, zbudowano część katechumenatu (dwie sale i biuro). W budowie garaż i pralnia przy domu siostr. Przede wszystkim jednak zrobiono w Musongati i wypalono 140.000 cegieł. Będzie to na przyszłe budowy.

To były prace zewnętrzne, widoczne, konieczne i radujące oczy i serce. Ale niestety, zabierają one czas, który tak bardzo chcielibyśmy poświęcić sprawie najważniejszej: budowie duchowego Kościoła. Nie jest to łatwe. To bardzo podobne do naszych starych kaplic: to tu coś poprawiasz, przebudujesz, a już gdzie indziej czas, deszcz i wiatry robią swoje. Zabieraj na nowo się i nie zniechęcaj się.

Tej budowie duchowego Kościoła w czasie wakacji, oprócz normalnej pracy duszpasterskiej, miały służyć: pierwsza Komunia św., bierzmowanie i uroczysta Komunia święta (ta ostatnia traktowana jest tu jako uroczyste odnowienie przyrzeczeń chrztu św.). Wszystko to zostało poprzedzone specjalnym przygotowaniem i rekolekcjami.

Budowie duchowego Kościoła mają służyć przeprowadzone rekolekcje i doksztalcanie całej ekipy katechumenów pracujących w naszych parafiach.

Ufamy także, że solidnym kamieniem w tej budowie duchowej będzie pielgrzymka z parafii Musongati do sanktuarium maryjnego w Mugeru. Nie należy wyobrażać sobie wielkiej Częstochowy czy Kalwarii Zebrzydowskiej. Mugeru, to po prostu parafia, w której zbudowano skromną grotę na wzór Lourdes. Rok rocznie, 15 sierpnia, zbiera się tam trochę ludzi z okolicy. Przychodzą grupkami z różnych parafii, ale przychodzą raczej indywidualnie. Pielgrzymka w Musongati i Mpinga była chyba pierwszą zorganizowaną pielgrzymką. Poszło pieszo trzech ojców, trzy siostry i około 150 osób. Trzy dni drogi, w czasie której śpiewano pieśni, odmawiano różaniec i prowadzono rozmowy na tematy religijne. W wioskach, przez które przechodzono wywoływało to zdumienie. Nocowano w Mekabuki i Gitega. W miejscach noclegu odprawiano: wieczorem nabożeństwo i spowiedź, rano Mszę świętą.

Uroczystości z Mugeru były w tym roku związane z rokiem kapłańskim. Jubileusz święceń kapłańskich arcybiskupa Gitegi – A. Makarakizy i wielu kapłanów i misjonarzy, jubileusze ślubów zakonnych i święcenia kapłańskie zgromadziły w Mugeru 12 biskupów, licznych kapłanów, wielu zakonników i kilka tysięcy ludzi. Nasi parafianie wrócili zmęczeni, ale pełni duchowej radości. Już dzisiaj obiecują sobie, że na przyszły rok pójdą grupą o wiele liczniejszą.

Nasz biskup Ruhuna, który wciąż jeszcze wspomina piesze polskie pielgrzymki do Częstochowy, o których mu mówiono w Polsce i z których zdjęcia oglądał, marzył, by także wierni w Burundi nauczyli się nieść wspólnie do Maryi trud drogi, ofiarę i modlitwę, by

stawali wspólnie przed obliczem wspólnej Matki. I oto pierwsza próba zorganizowanej pielgrzymki wypadła dobrze. Biskup był rozradowany.

Skoro już mowa o pielgrzymce do maryjnego sanktuarium, skorzystam z okazji, by odpowiedzieć na pytanie dawniej już postawione w Waszych listach: Czy ludzie w Burundi czczą Matkę Bożą!?

Chrześcijaństwo do Burundi przyszło tuż po różańcowych encyklikach Leona XIII, przyszło w okresie ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu NM Panny, w okresie poświęcenia całego świata Jej Niepokalanemu Sercu. Nie pozostało to bez echa w młodym Kościele.

Pierwsi misjonarze przyszli do Burundi z różańcem. Jeszcze dzisiaj można spotkać Ojców Białych z zawieszonym na szyi dużym, czarnym różańcem. Uczono odmawiać różaniec, o czym świadczą zachowane kazania dawnych misjonarzy i krótkie rozważania na każdy dzień października, wydane w roku 1945. Także w książeczce do nabożeństwa, oprócz innych modlitw do Matki Bożej, znajdujemy 16 stron poświęconych tajemnicom różańca św. W programie nauczania religii wiele miejsca poświęcono różańcowi. Młody katechumen w dniu chrztu św. i każdy chrześcijanin w dniu odnowienia przyrzeczeń chrztu św. zawiesza na szyi różaniec.

Wielu z nich nosi ten różaniec stale. Inni noszą medaliki Matki Bożej. W miesiącu maju i październiku wierni zbierają się wieczorem przy kościele parafialnym, przy kaplicach, na stacjach misyjnych lub w swoich domach na wspólny różaniec. Widocznie kiedyś kładziono na to duży nacisk, bo jeszcze można spotkać ludzi, którzy oskarżają się w konfesjonale, że opuścili wspólny różaniec bez ważnej przyczyny.

Czy odmawiają często różaniec osobiście lub wspólnie w rodzinach? Nie potrafię na to pytanie dać wyczerpującej odpowiedzi. Niektórzy odmawiają. Zależy to w dużej mierze od gorliwości duszpasterzy w tym względzie.

Dzisiaj, zwłaszcza młodzi misjonarze z Zachodu, nie wykazują tej gorliwości, bo podobno nie powinno się przeszczepiać na afrykański grunt naszych europejskich nabożeństw, bo kult Matki Bożej i Świętych mógłby zdeformować kult Chrystusa i Boga, bo... takie i różne i dziwne racje.

Tymczasem wydaje się, że należałoby wykorzystać i pogłębić to, co już zrobiono w tym względzie, bo przecież nie ma pełnego chrześcijaństwa bez umiłowania Matki Chrystusa.

Co już mamy? Mamy obowiązkowe święta Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia NMP. W kalendarzu liturgicznym święta: święto Maryi Matki Bożej (1 stycznia), Zwiastowanie (25 marca), Nawiedzenie (31 maja), Niepokalane Serce Maryi (26 czerwca), Narodzenie NMP (8 września), M. Bożej Bolesnej (15 września), M. Bożej Różańcowej (7 października), święto św. Rodziny.

Różaniec: odmawiany w maju i październiku, chętnie noszony na szyi.

Pieśni: Mamy już w Burundi sporo pieśni maryjnych. Pierwsza część śpiewnika kościelnego wydanego w 1966 r. zawiera ich około 80 str., druga wydana w roku 1974 – tylko 11. Jest jednak jeszcze wiele innych maryjnych pieśni wydanych na powielaczu. Niektóre z nich mają głęboką treść. Mogą być szkołą wiary, tym bardziej, że nasi ludzie chętnie i dobrze śpiewają.

Książki: Można znaleźć w Burundi w języku kirundi kilka broszurek poświęconych NM Pannie i przetłumaczony VIII rozdział Konstytucji Soborowej o Kościele.

Kościóły i figury: Niemal wszystkie kościoły w Burundi poświęcone są Maryi Pannie. Przy okazji przypomnę, że masz Kościół w Mpinga poświęcony jest Królowej Różańca Świętego, kościół w Musongati – Królowej Apostołów. Gdziekolwiek można spotkać figurę Matki Bożej na miejscach publicznych.

Legion Maryi: Niemal we wszystkich parafiach i na stacjach misyjnych działa stowarzyszenie „Legion Maryi”, mający za cel wyznawanie wiary w oparciu o szczególną cześć oddawaną Maryi.

To wszystko już mamy. Pozostaje jednak zawsze jeszcze wiele do zrobienia. Przede wszystkim należałoby kult Matki Bożej pogłębić i bardziej powiązać z codziennym życiem. Nie jest to łatwe, ale trzeba to zrobić, by chrześcijaństwo w Burundi stawało się coraz pełniejsze. To w jakiś sposób wydaje się szczególnym zadaniem polskich karmelitów w Burundi. Nie jest to łatwe zadanie, ale jest to jakaś szczególna szansa: prowadzić nowych wiernych do Chrystusa przez Maryję. Jeżeli nie ma w Kościele żadnego świętego, który nie miłowałby w szczególny sposób Matki Bożej, to jeżeli chcemy pogłębić życie duchowe naszego młodego Kościoła, musimy starać się zaszczerpić w nim miłość ku Maryi i to wbrew wszelkim opiniom. Ona na pewno nie przesłoni nikomu Chrystusa – Swojego Syna, wprost przeciwnie, ukaze Go pełniej w świetle swego macierzyńskiego serca. Ona też będzie doskonałym wzorem pełnienia Woli Bożej, wzorem żywej wiary, miłości Boga i bliźniego, czystości, rozmodlenia, wzorem doskonałego życia rodzinnego. Każdy szczegół życia w świetle Jej Postaci może nabrać innych, pełniejszych walorów. Nie można mówić, że nasi ludzie tego nie rozumieją, że do tego nie dorośli.

Które dziecko nie dorosło do Matki? Ona jest Matką Kościoła i Matką każdego dzieła Bożego. Trzeba ich tylko uczyć poznawać i miłować Tę Matkę i pod Jej wejrzeniem przeżywać z Chrystusem dla Boga codzienne życie. Na pewno zrozumieją. Pamiętam, że kiedyś z okazji święta Nawiedzenia powiedziałem naszym prostym ludziom kilka zdań na temat odwiedzin. Oni lubią odwiedzać swoich krewnych, przyjaciół i znajomych. Odwiedzają, znaczy także zanieść dar. Nie można w Burundi iść w odwiedziny z pustymi rękami.

Mówiłem więc o odwiedzinach. Lubicie iść ścieżkami przez góry 100, a nawet 200 km, byle odwiedzić swoich.

To znak miłości. Maryja także podjęła trud drogi przez góry, by odwiedzić swoich krewnych, ale patrz, co Ona zrobiła, co Ona im zniosła? Zniosła radość, zniosła dobre słowo płynące z serca przepełnionego wiarą, miłością i łaską. Poszła do krewnych przepełniona Bogiem, i te proste odwiedziny stały się świętem. A ty, co zanosisz idąc w odwiedziny? Czy idziesz w odwiedziny z łaską uświęcającą w sercu, z Bogiem? Czy zanosisz radość? Może twoje słowa w czasie odwiedzin szarpia sławę bliźniego, ranią miłość, wzniecają niesmak, nienawiść. Powiedz, czy twoje odwiedziny były podobne do odwiedzin Maryi?

Dzisiaj prosimy Matkę Bożą, by nauczyła nas tak odwiedzać bliźnich, by te odwiedziny były świętem, radością, by zawsze były z Bogiem, któremu wspólnie śpiewamy hymn dziękczynny za wielkie rzeczy, które nam uczynił.

Nie pamiętam już wszystkich myśli, wypowiedzianych wtedy. Później spotkałem się z grupą wiernych, którzy powiedzieli, że jeszcze nigdy tak nie spojrzeli na swoje odwiedziny. „Trzeba coś zrobić, by one były podobne do odwiedzin Maryi, bo przecież chcemy być Jej dziećmi” – dodali. Radość moja była wielka, bo przecież zrozumieli...

Przepraszam za te osobiste refleksje, ale skoro się już napisało, niech pozostanie, byście wiedzieli, co może myśleć misjonarz, gdy usłyszy pytanie: czy ludzie w Burundi czczą Matkę Bożą?

Owszem, już czczą, ale trzeba to pogłębić, aby obraz Matki Bożej – wierna kopia obrazu Częstochowskiego, dar ks. Prymasa dla naszej misji – nie tylko wisiał w Kościele w Mpingdze, ale by malował się w sercach wiernych i promieniował na ich codzienne życie...

Coś podobnego należałoby powiedzieć o Świętych. Kiedyś przetłumaczono na język kirundi Żywoty Świętych na każdy dzień. Nieporadne to tłumaczenie, ale coś było. Dzisiaj książka jest nieosiągalna. Powiedziałem kiedyś naszemu biskupowi, że bardzo się boję o rozwój duchowy chrześcijan i bardzo się boję o Kościół, zwłaszcza młody Kościół, który nie czci Świętych. Tymczasem „wyrzucono” nam Świętych z kościoła. W tekstach, które przygotowano dla katechistów do czytania w niedzielę, na stacjach misyjnych, przez trzy lata niemal nie wspomniano o Świętych, a przecież trzeba, żeby młodzi chrześcijanie uczyli się od swoich dojrzałych w wierze i miłości braci – od Świętych. Kiedy człowiek nie umie sobie poradzić za swoimi wadami, świadomość, że oni z tym samym się borykali i tak wspaniale odnieśli zwycięstwo nad sobą, dodaje siły... Biskup przyznał rację i sam wspomniał, ile zawdzięcza przykładom z życia Świętych. Obiecał tę sprawę poruszyć na forum między diecezjalnym. Oby coś zrobiono w tej sprawie.

Kochani, żeby ten list Was nie zanudził, będę kończył. Jeszcze tylko bardzo, bardzo serdeczne Bóg zapłać za wszystko, co dla nas czynicie!

Wiem, że ostatnio nie można z Polski przysyłać do Burundi małych paczuszek. Szkoda, bo one tak pomagały, bo ratowały wielu od śmierci (myślę o bezcennych dla nas lekarstwach). To one sprawiały, że polscy misjonarze mogli dorównywać misjonarzom innych narodowości w niesieniu pomocy biednym, a nawet ich przewyższać. Szkoda, ale skoro nie można, to trudno. Módlcie się gorąco, by dobry Bóg otworzył dla nas szerzej serca naszych Rodaków, żyjących poza granicami kraju. Teraz tym bardziej musimy na Nich liczyć.

Zapewniam, Kochani, że pamiętamy o Was w naszych codziennych modlitwach. Szczególnie będziemy pamiętać z okazji Dnia Misyjnego.

Was także prosimy o modlitwę! Szczególnie modlitwie polecam nasze dzieci i młodzież, tę szkolną i tę, dla której brakuje szkół. Bardzo nam to leży na sercu, bo sytuacja w Burundi nie jest łatwa. Wciąż jeszcze odczuwamy skutki wydarzeń z 1972 roku. Np.: w roku 1965 w szkołach podstawowych było 139.730 dzieci, w roku 1970 było 182.440 dzieci. Po wypadkach, już w 1975 roku, mieliśmy w szkołach podstawowych tylko 130.084. Te oficjalnie podane cyfry mówią same za siebie. Cofnięto się bardzo i długo tej starty się nie nadrobi, bo prawie nic nie robi się, by szkołę zapewnić wszystkim. To z kolei rzutuje na gospodarstwo kraju, na sprawę powołań kapłańskich itd.

Gorącym modlitwom polecam Małe Seminarium Duchowne, które pod koniec września zaczyna swoją działalność w Ruyigi. Z Mpinga dwóch chłopców poszło do tego seminarium: Józef i Salwator. Z Musongati – jeden.

Nie zapominajcie w modlitwach o naszym misjonarzu – proboszczu z Musongati- O. Janie Kantym, który 18 września br. świętuje 25-lecie swoich ślubów zakonnych. Jubilatowi „Szczęść Boże!”

Pamiętajcie też w modlitwach o dwu naszych nowych misjonarzach (O. Bartłomieju Kurzyniec i o Ksawerym Kwiatkowskim), których przyjazdu do Burundi w tych dniach się spodziewamy.

To na razie wszystko. Jeszcze tylko ta moja noga, o którą pytacie. Chociaż okazało się w końcu, że było jakieś pęknięcie, to jednak już jest dobrze. W połowie sierpnia, będąc na misji sam, poszedłem pieszo do chorego, jakieś 6 km. Wróciłem cało i zdrowo. Wczoraj miałem z tego powodu „pociechę”, bo młodzieniec około 20 lat, który wtedy był umierający, przyszedł do kościoła. Przy spotkaniu, wszyscy, trochę żartem, trochę na serio powiedzieli, że to mój wysiłek sprawił „cud”, że to dzięki temu „szczęściu” jakie mam, bo i wtedy tak szczęśliwie spadłem i teraz poszedłem do umierającego i on wstał! Niech im będzie! Byle tylko teraz nie prosili, żeby O. Teofil, a nie kto inny, chodził do chorych. Próbowałem im zaraz przypomnieć, jakie skutki sprawia sakrament chorych.

Z Bogiem – do następnego listu! Sami też napiszcie tak długie listy, jak ten mój!

Z uśmiechem Wasz z całym sercem
br. Teofil St. Kapusta

Mpinga, grudzień 1976

+ Kochani Przyjaciele!

Akana Yesu kavutso! – Dziecię Jezus się narodziło!

Bóg stał się Człowiekiem. W Jezusie Chrystusie Bóg stał się Człowiekiem. W Jezusie Chrystusie Bóg stał się Bratem wszystkich ludzi. Bóg zechciał podzielić się z nami Swoim życiem, aby nas nauczyć dzielić się naszym.

Czegóż mamy Wam życzyć, Kochani, w tej radosnej chwili? Oby radość Bożego Narodzenia w błogosławionej nadziei, którą nam przynosi, zawsze opromieniała Waszą drogę i umacniała serce! Oto nasze krótkie, ale szczerze i braterskie życzenia w Jezusie Chrystusie i Maryi. Oto nasze gorące, nadprzyrodzone życzenia na nadchodzący Nowy Rok.

Oto nasze życzenia, które Wam składamy i które zaniesiemy do stóp Bożego Dzieciątka w Świętą Noc w naszych prawdziwie betlejemskich stajenkach – kaplicach, gdzie modlić się za Was będziemy z naszym ludem.

Sami także liczymy na Waszą modlitwę. Módlcie się za nas szczególnie przy Bożym Żłóbku, byśmy umieli wykorzystać godzinę łaski, w której na nowo Bóg przychodzi ze Swoją miłością. Oby Chrystus rozgrzał na nowo nasze serca, umocnił nasze słabe siły, byśmy Mu mogli służyć szczególnie w Jego najbiedniejszych, by w ten sposób, także i u nas, wypełniły się słowa śpiewane o Bożym Narodzeniu: „Radość, rozbrzmiewa wśród łez, światłość jaśnieje wśród ciemności. Miłość Boża przewycięża egoizm, ogarnia serca biedaków, rodząc przedziwne owoce łaski, Serca otwierające się w miłości, ręce otwierają się w darze i tak zaczyna się nieustanne przychodzenie Boga, wieczne Boże Narodzenie, nadzieją na rzeczywistą miłość, pokój, dobroć i radość...”.

Tych darów Bożej radości życzę Wam wszystkim, życzę Waszym najbliższym i życzę także naszym ludziom, szczególnie dzieciom, które też czekają na radość Bożego Narodzenia, choć nie bardzo ośmielają się wierzyć, że ona rzeczywiście nadejdzie.

W tym czasie darów – Bóg oddał nam wszystko, oddając Syna – któż nie chciałby uczynić choć drobnego braterskiego gestu, by podzielić i pomnożyć radość? Chcemy i my. Byłoby wiele do powiedzenia na ten temat, ale w blasku betlejemskiej szopki pragnę powiedzieć jedno: często jesteśmy zupełnie bezradni wobec nędzy, która nas otacza. Jeżeli i w tym roku mamy nadzieję wnieść z okazji Bożego Narodzenia choć odrobinę radości w życie naszych ludzi, to właśnie dzięki Wam i Waszym darom! Mam nadzieję, że potraficie zrozumieć naszą wielką, bardzo wielką wdzięczność! Bóg jest dobry, bardzo dobry, a dobroć Boża przebiega przez Wasze serca. Niech będzie błogosławiony i niech Sam będzie „Waszą nagrodą”.

Oto kilka bezradnych słów z okazji Świętej Nocy, słów, które chciałyby powiedzieć, jak bardzo jesteśmy z Wami wdzięcznym sercem, serdeczną życzliwością i nieustanną modlitwą.

Przy okazji świątecznego listu chciałoby się porozmawiać o wielu sprawach i odpowiedzieć na wiele Waszych pytań, ale czas jest bardzo zajęty, chcemy bowiem przygotować naszych wiernych, by mogli głębiej przeżyć radość Bożego Narodzenia.

Muszę jednak odpowiedzieć choć na jedno pytanie, które powtarza się w listach z różnymi odcieniami. Pytanie: Skoro tyle pozostaje do zrobienia dla chorych, dla biednych i dla katechumenów, skoro nie macie kościoła parafialnego w Musongati, skoro rozpadają się kaplice na stacjach misyjnych, dlaczego zaczynacie od szkoły gospodarstwa w Mpinga i od szkoły podstawowej w Musongati? Czyż tym nie powinno się zająć państwo? Czyż misjonarze nie powinni budować kościoła?

Kochani, wiem, trzeba przede wszystkim duchowy Kościół budować i trzeba myśleć o zbudowaniu kościoła parafialnego w Musongati, gdzie bardzo potrzebny jest także katechumenat, trzeba odnowić rozpadające się kaplice na kilku stacjach misyjnych, a jeżeli już – jak powiedział Ojciec Święty Paweł VI – „niewidzialne domaga się od nas inicjatywy w sprawach widzialnych”, to trzeba przede wszystkim zbudować coś dla naszych chorych. Ale na rozpoczęcie ośrodka zdrowia wciąż jeszcze brakuje grosza. Na kościół i kaplice też.

Tymczasem potrzebna szkoła gospodarstwa – tzw. foyer social – w Mpinga. Parafia Mpinga jest bowiem bardzo oddalona od jakiegoś większego ośrodka. Ludzie jeszcze bardzo bezradni w obliczu trudnych warunków gospodarowania. Szerzą się różnego rodzaju choroby z powodu braku higieny i nieodpowiedniego odżywiania się lub wprost niedożywienia. Przesady i czary mają jeszcze bardzo wiele do powiedzenia w naszej okolicy, a więc „czarownicy” i inni spryciarze żerują na naiwności, wyzyskując i tak już biednych ludzi. Szkoła gospodarstwa domowego będzie mogła promieniować na całą okolicę choćby odrobiną wiedzy praktycznej, także sanitarnej, będzie mogła uleczyć wiele bied wynikających z nieświadomości ojców i matek rodzin.

W tej szkole będzie się przygotowywać chłopców i dziewczęta do rozumnego życia rodzinnego. Oczywiście, dwie duże klasy, duża sala zajęć praktycznych, biuro i magazyny (fundamenty pod kierunkiem O. Sylwana już założone), a kiedyś także warsztaty nie wystarczą. Ważniejszy będzie odpowiedni personel nauczający. Ufamy, że go zdobędziemy.

To byłby argument za budową foyer social w Mpinga. Ale jest jeszcze argument ponad argumenty. Zdradzę Wam: mimo moich narzekań na wielkie organizacje, że nie rozumieją naszej buszowej sytuacji, otrzymaliśmy od niemieckiej organizacji wspierającej misję „Misereor” pomoc na budowę. Bez tej pomocy szkoła gospodarstwa w Mpinga musiałaby się długo jeszcze mieścić w budynku, którego dach przepuszcza wodę jak sito.

Ale czy nie mógłby budową zająć się ktoś inny? Niestety, w buszu warunki są takie, że poza misjonarzem nikt nie potrafi budować.

Szkoła w Musongati. Na razie budujemy dom dla Sióstr. Chcemy jednak zaraz zabrać się do szkoły. Przy pomocy gminy w Musongati zgromadzono już kamienie na budowę szkoły. Obiecana jest pomoc ludzi przy budowie i jest nadzieja na pomoc pieniężną udzieloną przez diecezję. Szkoła jest bardzo potrzebna. Jak niemal we wszystkich krajach Afryki, tak i u nas, a może szczególnie u nas, problem szkół nie został jeszcze rozwiązany mimo ogromnego wysiłku Kościoła. Wysoki przyrost naturalny w Burundi przy dotychczasowej gęstości zaludnienia (128,5 osób na km²) sprawia, że kraj nie nadąża z rozwojem gospodarczym na tyle, by zapewnić ludziom utrzymanie i jakie takie warunki zdrowotne, a cóż dopiero wykształcenie. Przy obecnym stanie gospodarki krajowej, bardzo i niemal we wszystkim uzależnionych od Europy krajach Afryki i Azji, gospodarka jest w ręku ludzi nieodpowiednich, nie ma więc nadziei na wyjście z impasu.

Wciąż brakuje szkół i nauczycielstwa, szczególnie w buszu. Przez góry i doliny w deszczu lub słonecznej spiekocie, dzień w dzień dzieci przebiegają – tam i z powrotem – odległość 10 i więcej kilometrów, by znaleźć się w szkole. Szczęśliwie, jeżeli znajdzie się dla nich miejsce. W takich „szkołach” w buszu, gdzie dach przecieka, gdzie nie ma okien i drzwi, gdzie nie ma ławek szkolnych, nauczyciele często mają tylko ręce i język, jako pomoc w przekazywaniu bardzo podstawowych wiadomości. Dodać należy: wielu z nich uczy tylko dla pensji, bez przekonania, bez powołania.

Dochodzi trudność, o której już kiedyś wspomniałem: Rodzice nie chcą posyłać dzieci do szkoły. Rodzice z plemienia rządzącego nie posyłają, bo tylko znikomy procent dzieci może uzyskać miejsce w szkole średniej, a inne wracają do buszu bez świadectwa ukończenia szkoły podstawowej. Rodzice z drugiego plemienia, bo pamiętają dobrze, że już nie jeden raz wyniszczono ludzi (z tego plemienia) tylko dlatego, że umieli czytać i pisać. Należy też do wyjątku, jeżeli któreś dziecko z tego plemienia dostanie się do szkoły średniej. Po co zatem płacić co roku 40 franków, po co starać się o jakie takie ubranie, w starszych klasach o zeszyty? Po co dzieci mają marnować czas, kiedy mogą uprawiać ziemię, paść kozy, zbierać gałęzie na opał i nosić wodę? Niektórzy rodzice są rzeczywiście biedni, by ubrać, wyżywić i kształcić dzieci.

Mimo wszystko, a raczej dlatego i aby ciemności nie były zupełne, trzeba zająć się szkołami. Państwo, zwłaszcza u nas w buszu, nie pomoże, a nam przecież także chodzi o to, by choć kilka osób w wiosce potrafiło przeczytać Ewangelię. Na razie w parafii Mpinga na jakies 3.500 dzieci w wieku szkolnym uczęszcza do szkoły 746 dzieci.

W parafii Musongati na 2.900 dzieci w wieku szkolnym uczy się 617 dzieci. Uczą się w szopach, których nikt z Europejczyków nie nazwałby szkołą.

Rozumiecie zatem, Kochani, dlaczego odkładamy na dalszy plan budowę kościoła (budynku, bo o duchowym Kościele nie zapominamy), dlaczego zostawiamy odbudowę

kaplic, budowę ośrodka zdrowia, a marzymy o szkole. To zresztą będzie także realizowaniem Bożonarodzeniowej radości: światłość zajaśniała wśród ciemności.

Oczywiście, wcale bym się nie dziwił, gdybyście mimo wszystko nie rozumieli. Odwiedziła w październiku swoje siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus Matka Generalna. I cóż stwierdziła? „Chociaż przeczytałam dokładnie listy misjonarzy i misjonek z Burundi, to przecież bardzo słabe miałam pojęcie o tym wszystkim, co tu widzę”. Także i my, wciąż jeszcze wielu spraw zupełnie nie rozumiemy i wiadomo, że nasi czarni bracia także nas nie rozumieją. Tyle tylko, że już się trochę mniej dziwimy. Na początku było inaczej. Pamiętacie zapewne to, co opowiadałem przed rokiem w Polsce. Kiedy objęliśmy parafię w Mpinga, postanowiliśmy jakoś zagospodarować misję. Zachciało nam się świnek. Sprowadziliśmy dwa dosyć już duże białe prosiątka. Tu w okolicy nikt nie widział świni. Hodują je jedynie na północy kraju. Ponieważ misjonarze mają dosyć pracy, karmienie świnek zleciliśmy naszemu kucharzowi, tłumacząc mu co, kiedy i jak ma dla nich gotować. Po jakimś czasie spostrzegamy, że nasze świnki zupełnie kozieją. Sierść długa, chude, tylko patrzeć jak wyrosną rogi. Pytamy kucharza o powód. Odpowiada, że nie chcą wcale jeść gotowanego, więc daje im trochę trawy. Ale dlaczego nie chcą jeść gotowanego? Okazało się, że kucharz zaniósł im korytko gorącego manioku. Głodne świnki natychmiast wsadzały ryjek i uciekały z kwikiem, więc kucharz zabierał korytko, bo nie chcą jeść i jeszcze mocniej podgrzewał maniok na kolację. Mówimy mu: człowieku, dlaczego im dajesz takie gorące jedzenie? A on pełen zdziwienia: Przecież ojcowie zawsze chcą wszystko gorące! Nie wiem, ale chyba myślał, że wszystko co białe, musi jeść gorące. Zagłodzonych świnek nie dało się przekonać do jedzenia, coraz bardziej koziały, poszły więc na rzeź.

Przy okazji kucharz dowiedział się, że nie wszystko co białe, musi jeść gorące. My także już wiemy, że nowemu kucharzowi trzeba przypominać, aby nam podawał gorące jedzenie. Wiemy, dlaczego Czarni lubią jedzenie chłodne. Po prostu poparzyliby sobie rajski widelec Adama, którego wciąż jeszcze używają przy jedzeniu. Dzisiaj wiemy już także, że ten „widelec” jest jakoś dziwnie uodporniony na gorąco. Wiemy z doświadczenia, że kiedyś kucharz przyniósł i spokojnie postawił na stole półmisek. Biały misjonarz chcąc przysunąć półmisek ku sobie, nagle oderwał rękę i poszedł szukać środka przeciw oparzeniu. Gdy wrócił, pokazał zdumionemu kucharzowi bąble na palcach. Tak powoli, powoli doksztalcamy się i zaczynamy rozumieć w sprawach zewnętrznych, ale ileż jeszcze pozostaje niezgłębionych zagadek z dziedziny ducha!!!

O tym jednak porozmawiamy może kiedyś później, bo przed Świętami rzeczywiście brakuje czasu.

Zresztą słyszałem, że O. Jan Kanty wybiera się do Was z długim listem, w którym zapewne opisze wszystkie ciekawostki. Nie zapomni na pewno napisać i o ludożercy ze swej parafii i o lwach, które grasowały w sąsiedniej parafii pożerając osiem osób i raniąc inne, więc nie będę więcej pisał, tylko Wam Kochani powiem dobranoc i pójdę spać spokojnie, bo jeden z tych złośliwych lwów już został zabity, a inne do nas nie przyjdą, bo one wysokich gór nie lubią.

Dobranoc zatem Kochani, bo gwiazdy cichutko mrugają, wszystko śpi spokojnie i ja też jestem senny.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień, wyrazy wdzięczności i wiele serdeczności od nas wszystkich z Mpinga i Musongati.

O. Teofil St. Kapusta
D. Sp. 119 – Bujumbura
Mpinga
Burundi – Afrique

Mpinga, grudzień 1976 r.

+ Drodzy Przyjaciele!

Na zbliżające się Święta w imieniu całej naszej grupy misyjnej z Mpinga i Musongati przesyłam bardzo serdeczne życzenia: Boże Dzieciątko niech Wam przyniesie wiele radości, wiele spokoju, wiele wszelkiej pomyślności, niech wejdzie z łaską w wasze troski i radości 1977 roku!

Nie powiem więcej, bo słowa są bardzo bezradne, nie wypowiadają tego, co czują nasze serca. Resztę dopowiemy w gorącej modlitwie przy żłóbku.

Przy okazji pragnę serdecznie podziękować za wszystko, co zrobiliście dla nas i dla naszych ludzi w ciągu bieżącego roku. Niech Wam Bóg stokrotnie zapłaci za każdy gest Waszej miłości i przyjaźni, w której – mimo naszego milczenia – wytrwaliście.

To milczenie było spowodowane nadmiarem pracy, a często było spowodowane trudnościami poczty. Wiem, że dużo Waszych i moich listów zginęło w ciągu tego roku.

Spróbuję zatem przy okazji tego świątecznego listu napisać Wam krótko, co działo się u nas w ciągu tego roku.

Była praca duszpasterska: rekolekcje, wyjazdy na stacje misyjne, organizowanie katechumenatów, otoczenie opieką duchową Akcji Katolickiej i katolickich organizacji młodzieżowych itd.

Była praca społeczno-charytatywna: organizowanie szkół i foyer social, organizowanie alfabetyzacji, organizowanie pomocy dla biednych i głodujących. Był w tym roku okres szczególnego głodu na skutek gradów i nieregularnych deszczów. Dzięki Waszej pomocy mogliśmy rozprościć wśród najbiedniejszych trochę żywności, odzieży i koców. Jakże byli wdzięczni ci biedacy!

Przez cały rok działał także ośrodek zdrowia w Musongati. Dzięki Waszej pomocy i dzięki energii i oddaniu S. Zygmunty uratowano wielu. Były w tym roku sytuacje trudne, bo nawiedziły naszą okolicę różne epidemie. Całymi miesiącami w dwu małych salkach przychodni zdrowia (każda po 7 łóżek) walczyło ze śmiercią około 50 dzieci. Co jedno podleczone, przychodziły następne. Dla wielu nie starczyło miejsca. Umierały w domach. Były rodziny, które w ciągu tygodnia straciły troje lub czworo dzieci. Czarownicy mieli pole do popisu. Siostra Zygmunta także, bo przecież oprócz ratowania dzieci musiała dzień w dzień przyjąć 150 - 300 chorych. Musi także objąć opieką ponad 500 dzieci chorych na kwashiorkor, musi nauczyć matki racjonalnego odżywiania i podstawowej higieny, musi przyjmować trudniejsze porody, musi... Czegóż ona nie musi! Myślę zatem, że rozumiecie jej milczenie. Druga pielęgniarka, S. Lucyna pomoże już wiele, ale jeszcze jej w pełni nie zastąpi, bo miejsce w szkole języka tutejszego otrzyma dopiero w marcu 1977 roku.

Tu zapewne postawicie pytanie: dlaczego S. Zygmunta nie zorganizuje lepszych warunków pracy? Dlaczego nie zbudujecie większego ośrodka zdrowia? – To jest nasze wielkie pragnienie, ale... nie nadążamy! Wasze ofiary przyjmujemy bardzo wdzięcznym sercem i lokujemy w materiałach budowlanych. Wciąż jeszcze czekamy na jakąś większą pomoc, może którejś ze światowych organizacji, bo Wasza pomoc wciąż jeszcze nie wystarcza. Mam jednak nadzieję, że już w przyszłym roku rozpoczniemy budowę ośrodka zdrowia w Musongati. Na razie budujemy to, na co znalazł się grosz. Pierwsza będzie szkoła gospodarstwa – foyer social w Musongati. Fundamenty już założone i rosną ściany. Obok foyer stanie domek dla nauczycielek. Trzeba też dokończyć katechumenat w Musongati, trzeba myśleć o szkole, o kościele, o kaplicach i katechumenatach na stacjach misyjnych.

W tym roku w Musongati ukończono budowę domu sióstr, zbudowano zbiornik na wodę, magazyny, garaż i pralnię oraz dwie sale i biuro katechumenatu. Wypalono także około 140 tys. cegły. Sądzę, że to nie mało, jak na jednego budowniczego - br. Marcelego, który od października zasiadł na ławie szkolnej, by udoskonalić swoją znajomość języka kirundi. Wróci do pracy w marcu.

Tymczasem w Mpinga, oprócz pracy duszpasterskiej i społeczno-charytatywnej, zbudowaliśmy garaż i część magazynów, dokończyliśmy budowę foyer social, wypaliliśmy około 40 tys. cegły, rozpadającą się kaplicę w Kuguhu przebudowaliśmy na solidny kościół, przy którym zbudowano nowy dom dla księdza. Przebudowaliśmy też zrujnowany dom księdza w Nyamiyaga. Dzięki pomocy naszego p. Tadeusza Szklarczyka foyer social w Mpinga otrzymało wspaniałe umeblowanie, katechumenat piękne stoliki i ławki, szkoła w Kiharo 40 ławek do dwu klas.

Myślę, że to wiele, bo przecież nie mamy w Mpinga budowniczego, bo w tym roku O. Eliaszy Trybała był na wakacjach w Polsce, bo ja sam byłem przez jakiś czas „nieczynny” po spadnięciu z drzewa, na które wszedłem dla odczepienia dzwonu z naszej naturalnej dzwonnicy, czyli dwu wysokich drzew obok siebie rosnących. Jedno z tych drzew podgryzły termyty, zaczęło się chylić. Należało dzwon usunąć. Na szczęście spadłem bardzo dobrze. Tylko jednak kość w stopie czy kostka była pęknięta. Pęknięcie zostało źle rozpoznane przez lekarza, a zatem była konieczna dłuższa kuracja. Teraz już chodzę po ludzku.

Byłem też trochę nieczynny ze względu na podróże, które wypadło mi podjąć do Rwandy i Zairu (spotkanie z Nuncjuszem Apostolskim, odwiedzenie XX. Pallotynów, Sióstr Karmelitanek w Kigali i Ojców Karmelitów w Goma). Ostatnio wybrałem się na zjazd karmelitów-misjonarzy z 6 krajów Afryki, który odbył się w Nairobi w Kenii. Ta ostatnia podróż nie udała się, ale przecież i ona zabrała więcej niż tydzień czasu, bo trzeba było specjalnie jechać do stolicy dla załatwienia różnych formalności i potem pojechać do Nairobi, by pocierpieć nieco za Polskę Ludową. Wiedziałem, że do tego kraju trudno się dostać obywatelowi krajów socjalistycznych czy komunistycznych. Nie mogłem na miejscu zdobyć wizy, bo nie ma u nas ambasady w Kenii. Zaopatrzyłem się jednak w polecenie z konsulatu angielskiego, które – jak mnie zapewniano – wystarczy do otrzymania wizy w Nairobi. Owszem, wystarczy, ale nie dla Polaka. Upór władz Kenii był nieprzewyciężony. Przesiedziałem zatem 3 dni i 3 noce na lotnisku, czekając na najbliższy samolot do Burundi. Kto tak kiedyś czekał, wie co to znaczy!

Co jeszcze? – Pod koniec września zjawili się w Burundi nowi misjonarze: O. Nazariusz Kwiatkowski i O. Bartłomiej Kurzyniec. Co za radość!!! Niestety, Kochani, nie

przybyło nas wcale, bo z początkiem roku musiał odjechać z misji O. Klaudiusz Spyrka, a latem O. Jan Wołek powrócił do swej diecezji i pracuje w Burundi jako ksiądz misjonarz Fidei Donum.

I co jeszcze? We Wszystkich Świętych obalono u nas stary rząd. Wszystko odbyło się spokojnie, bez rozlewu krwi. Czy ta zmiana na lepsze? Nie za wiele można się spodziewać. Ta sama grupa wojskowa objęła władzę. Tylko najwyższe władze zmieniły się przy żłobie. Cóż to jednak pomoże naszym biednym ludziom z buszu?

To na razie tyle, bo chcę, aby list dotarł do Was przynajmniej w okresie Świąt.

Jeszcze raz zapewniam, że jesteśmy z Wami zawsze sercem, że sami oraz nasi wierni polecamy Bogu w modlitwach i Mszy św. (w każdą sobotę i niedzielę) Wasze radości i troski.

W wigilijną noc nasze serca będą szczególnie z Wami. Przy okazji zatęsknię nieco za mroźną roziskrzoną gwiazdami nocą, za nieskalaną bielą śniegu... U nas obecnie dużo zieleni i kwiatów, ciepło... Liście bananów i palm kołysze spokojny wiatr...

Z Bogiem!

Wasz wdzięczny misjonarz z buszu

br. Teofil St. Kapusta OCD

Listy Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus:

J+M

Musongati, Boże Narodzenie 1976 r.

Drodzy Przyjaciele Misji!

Na Święta Bożego Narodzenia przesyłamy najserdeczniejsze życzenia: oby Boskie Dzieciątko Jezus obdarzyło Was i Wasze Rodziny niezliczonymi łaskami i darami, szczególnie pokojem serca. Codziennie modlimy się za Was, ale w Noc Bożego Narodzenia szczególnie prosić będziemy Świętą Bożą Rodzicielkę, klęcząc przy żłobku Jej Syna, by wypraszała Wam potrzebne łaski i z matczyną troską czuwała nad Wami.

Sądzymy, że w Święta będziecie mieli więcej czasu na czytanie listów, dlatego opiszemy Wam naszą pielgrzymkę do Mugeru, może to lepiej naświetli tutejsze warunki.

Episkopat Burundi rok 1976 - ogłosił Rokiem Modlitw o powołania kapłańskie – rodzime. Pielgrzymka ta do Sanktuarium Maryjnego była zapowiedziana przez Episkopat Burundi. Postanowiliśmy odbyć tę pielgrzymkę pieszo. Gdy nasz ks. bp Ruhuna o tym się dowiedział, bardzo się ucieszył. W Burundi pielgrzymki należą do rzadkości. Mugeru jest oddalona od naszej misji około 80 km. Jest to stara misja Ojców Białych, gdzie jest bardzo czczona figura Matki Bożej przywieziona z Lourdes.

Rano, w dniu 13 sierpnia wyruszyło 3 Ojców Karmelitów Bosych, 3 siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus i około 80 osób, mieszkańców Musongati. Gdy się dołączyli ludzie z Mpinga, było wszystkich pielgrzymów 150 osób. Ojciec przypomniał jeszcze o

intencji, w jakiej podejmujemy tę pielgrzymkę, zachęcił, aby modlitwy i trud drogi ofiarować w intencji uproszenia rodzimych powołań kapłańskich.

W drodze modlimy się, odmawiamy różaniec. Ponieważ były dwa miesiące suszy, na drogach bardzo dużo kurzu, który ciśnie się nam do nosa, do gardła, do oczu, ale to nic. Wędrujemy w kurzu kilka godzin, czasem tylko, aby go uniknąć, nasi przewodnicy kierują nas na ścieżki, ale nam się wydaje, że one tylko wydłużają kilometry, które mamy do przebycia. Około godz. 15.00 dochodzimy do Makabuko. Jest to pięknie rozbudowana misja, duży kościół w kształcie krzyża, katechumenaty, szkoła podstawowa i gospodarcza, a wszystkim zajmują się Czarne Siostry. Ojcowie Biali oddali to wszystko do użytku księży tubylczych. Czujemy się dobrze. Jesteśmy przyjęci bardzo gościnnie. Nocleg dla wszystkich przygotowany. Nasi ludzie cieszą się, gdyż mają wody pod dostatkiem, więc myją się i piją wodę z kranu. Woda w całym kraju posiada bardzo dużo pasożytów, na które wrażliwi są Europejczycy, stąd wszędzie na misjach jest do picia gotowana woda i filtrowana. Tutaj widzimy, że filtr prawie pusty. Pytamy „boya,” czy ma wodę gotowaną. Robi zdziwioną minę i za dobrą chwilę spostrzegamy, że w dolnym naczyniu, gdzie spływa woda filtrowana jest jej pod dostatkiem, natomiast w górnym naczyniu – pusto. Teraz rozumiemy i śmiejemy się. Pocziwy Afrykańczyk! Po co miał gotować wodę, gdy „na oko” niegotowana woda wcale się nie różni od gotowanej. Tak widocznie robi częściej. W najgorszym razie dostaniemy „glistę”, ale mamy lekarstwo i to od Was!

Z Mpinga nadjechał ojciec samochodem, na który załadował trochę żywności i koce dla pielgrzymów. Widząc tę naszą historię z wodą, pojechał do Gitega i przywiózł nam wody do picia w butelkach od siostr Marystek – Włoszek.

Wieczorem jest nabożeństwo, Ojcowie Karmelici spowiadają. Aż radość patrzeć, jak nasi pielgrzymi zbliżają się do Sakramentu Pokuty, by oczyścić swe serce przed uroczystością Matki Bożej Wniebowziętej... Młodzież z Makebuko chce urządzić jeszcze dzisiaj wspólne śpiewy i tańce, ale motor produkujący prąd kończy swą pracę niezmiennie o 21.00 i zaraz po zgaszeniu światła są spuszczone groźne psy. Przyjmujemy to prawo miejscowe z przyjemnością, bo chcemy iść spać. Na pewno inaczej o tym myślą nasi pielgrzymi, którzy tak bardzo lubią tańczyć i śpiewać.

Rano, 14 sierpnia, mamy niespodziankę. Powietrze niezwykle świeże, ziemia nasiąknięta wodą. W nocy przeszła burza, ale nas nie obudził ani ulewny deszcz ani grzmoty. Wdzięczni jesteśmy Bogu, że nam ułatwił dalszą drogę. Wyruszamy o godz. 7.00. Maszerujemy swobodnie, modlimy się i śpiewamy pieśni religijne. Nasze myśli łączą się z pielgrzymką z naszej ukochanej stolicy, z Warszawy, która także dzisiaj zbliża się do Częstochowy...

Około godz. 13.00 docieramy do Gitega, dawnej stolicy Czarnych Królów. Leży na wzgórzu i jest otoczona górami, wyjątkowo bogato zalesionymi. W jednej części Gitega znajdują się zabudowania należące do diecezji. Między nimi stoi śliczna statua Najświętszego Serca Pana Jezusa – wśród zieleni i kwiatów. My jednak kierujemy się do innej części Gitega, gdzie są urzędy i sklepy. Musimy kupić żywność, gdyż przewidujemy, że jutro w Mugeru, gdzie będzie wiele pielgrzymów, nie kupimy nic.

W Gitega przyjmują nas serdecznie Siostry Marystki – Włoszki. Wieczorem Msza św. i różaniec, po czym udajemy się na spoczynek, gdyż jutro musimy wstać bardzo wcześnie, by zdążyć na czas.

15 sierpnia, wyruszamy o godz. 4.00. Jest jeszcze głęboka noc, choć księżyc jasno świeci. Śpiewamy pieśni i mówimy różaniec. Zaraz za Gitega droga się rozwidla. Nasi przewodnicy kierują nas w lewo. Nikt nie przypuszcza, że nie znają drogi, a o tej porze nikt obcy drogą nie przechodził, by zapytać, czy idziemy dobrze. Idziemy tak do godz. 8.00. Nagle zdrętwieliśmy – drogowskaz wskazuje: Mugera – 19 km. Jak to? Gitega jest przecież tylko 20 km? A myśmy już przeszli tyle kilometrów i nic? Msza św. rozpoczyna się o godz. 9.30. zdecydowano, że dalej nie pójdziemy razem, ale każdy niech spieszy jak może, by zdążyć na Mszę św. Wyprzedzają nas samochody, mijają grupy ludzi w barwnych ubiorach i niedługo ukazuje się olbrzymia góra, pod której szczytem zbudowany jest kościół i budynki misyjne – to Mugera! Od tej góry dzieli nas jeszcze duża przestrzeń, z długo wijącą się drogą, ale dziękujemy Bogu, że nie musieliśmy wracać, że mimo wydłużonej drogi, jest nadzieja, że zdążymy na uroczystą Mszę św.

Matka Boża chciała od nas trochę więcej trudu i wysiłku w tej pielgrzymce dla uproszenia rodzimych powołań kapłańskich. Jakże nie dać Jej z radością tych wszystkich trudów – w najpiękniejsze Jej święto?

Biegniemy razem z tłumem, wspinamy się pod górę, która jest bardzo stroma. Za nami – jak okiem sięgnąć – idą tłumy krętą drogą. Gdy wchodzimy na teren misji jest godzina 9.20. Jesteśmy dumne i cieszymy się, gdyż przyszyliśmy te 10 km w ciągu jednej godziny i 20 minut.

Za chwilę byliśmy gotowe do wzięcia udziału w procesji. Już Ojcowie Biali, tutejsi gospodarze – zajmują się formowaniem procesji. Spotykamy tu wielu misjonarzy znajomych z różnych diecezji. Rusza procesja, na czele procesji idzie 12 biskupów, w tym aż 11 tubylczych, a tylko jeden Belg – ks. bp Józef Martin, który odwiedził naszą Ojczyznę kilka lat temu. Za nimi idą kapłani, siostry zakonne i część pielgrzymów. Większość pielgrzymów zajęła miejsca na górze, pokrywając ją sobą niby pięknym, barwnym dywanem. Na zboczu góry, gdzie jest mały płaski teren, zbudowano ołtarz polowy. Tam zatrzymują się dostojnicy duchowni, wokoło ołtarza zajmują miejsca księża i siostry zakonne, nas też proszono bliżej ołtarza. Jesteśmy w brązowych habitach i w pełnym stroju zakonnym, toteż czujemy na sobie wzrok wielu osobistości, ale pełen życzliwości.

Uroczysta Msza św. koncelebrowana rozpoczyna się o godz. 10.00. Cieszymy się, bo na pewno wszyscy nasi pielgrzymi są już na miejscu. Kazanie wygłosił ks. bp Joachim Ruhuna, który uchodzi za najlepszego kaznodzieję w Burundi. Przed ofiarowaniem księża biskupi udzielają święceń subdiakonatu, diakonatu i kapłańskich. Są także obłóczyny i śluby zakonne braci św. Józefa, są jubileusze kilku biskupów i misjonarzy. Wszystko pięknie przygotowane – bardzo wzruszające chwile...Wzrusza nas widok staruszki – matki, całującej swego syna Prymicjanta.

Msza św. kontynuowana jest dalej – Konsekracja – Komunia św. ogromnej rzeszy wiernych... kończy się o godz. 13.30.

Teraz następują przemówienia świeckich przedstawicieli. Słuchamy przemowy gubernatora z Gitega i wysuwamy się z tłumy, bo mamy przed sobą daleką drogę powrotną. Idziemy do misji i tutaj spotykamy się z naszymi Ojcami Karmelitami. Posilamy się i ruszamy w powrotną drogę do Gitega. Nagle bez nawoływania jesteśmy znów otoczeniu naszymi ludźmi z parafii Mpinga i Musongati. Jakaś staruszka podchodzi do jednego z naszych Ojców i ze szczerością w głosie prosi: „Niech Ojciec przyjdzie pracować do naszej

misji. U nas księża zawsze jeżdżą autami, a ksiądz taki biedniutki, musi chodzić pieszo”. Widocznie starsuszka zauważyła, że wszyscy przyszli pieszo...

Wracamy teraz właściwą drogą i w Gitega jesteśmy o godzinie 16.30. Siostry Marystki częstują nas wszystkich obiadem i wieczorem wracamy samochodem do Musongati.

Nazajutrz wieczorem witałyśmy w Musongati wszystkich pielgrzymów, którzy pozostałe 60 km przebyli w jednym dniu. Zatrzymali się na noc na misji naszych Ojców Karmelitów, by rano rozejść się do swych domów.

Drodzy Przyjaciele! Tak minęły nam dni naszej pierwszej pieszej pielgrzymki na afrykańskiej ziemi. Jesteśmy bardzo zadowolone, że pokonałyśmy tyle kilometrów – dla Matki Bożej. Jak widzicie – podobnie jak Wy w Polsce – my tutaj mamy dni zwykłe, szare, ale mamy też radosne i urozmaicone. Oczywiście, że i te szare dni są jasne i piękne, gdy uświadomimy sobie, że „zdieramy się” dla chwały Bożej i dobra naszych kochanych Czarnych Braci.

Raz jeszcze życzymy Wam radosnych Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwego Nowego Roku!

Prosimy serdecznie o modlitwę w naszej intencji, byśmy umiały wiernie spełnić wszystko, czego Bóg od nas żąda. Z naszej strony zapewniamy o codziennej modlitwie za Was i Wasze rodziny. Szczególnie przy żłóbku będziemy prosić Boże Dzieciątko, by łaskami, zdrowiem, pokojem i pomyślnością w pracy – wynagrodziło Wasze ofiary na rzecz naszej misji w Burundi –

Wdzięczne
Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus
Misjonarki w Burundi

Musongati, 25.08.1976 r.

Ukochani Przyjaciele Misji!

Na Wasze i nasze święto – jakim jest Niedziela Misyjna – ślemy z dalekiej, a małej Burundi – nasze najserdeczniejsze podziękowanie i życzenia łask Bożych, zdrowia i nieustannie wzrastającej gorliwości o dobro duchowe i materialne naszych Czarnych Braci. Nie musimy chyba zapewniać, że my tutaj w Burundi i całe nasze Zgromadzenie w Polsce – modlimy się codziennie w Waszych intencjach.

Dzisiaj pragniemy podzielić się z Wami miłą wiadomością – nasz ks. bp Joachim Ruhuna, który w listopadzie 1974 roku był w Polsce i na pewno wielu z Was miało szczęście Go zobaczyć – otwiera prywatne Małe Seminarium Duchowne dla chłopców tubylczych, którzy pragną zostać kapłanami. Na pewno wielu chłopców po ukończeniu Małego Seminarium spostrzeże się, że inna jest droga ich życia, ale to co zyskają, pozostanie w ich duszy na zawsze, bo z wiedzą wyniosą także pogłębioną wiarę przez naukę religii i praktykę życia prawdziwie chrześcijańskiego. Będą też – choć w stanie świeckich – wielką pomocą dla misjonarzy.

Założenie tego Seminarium pochłania wiele funduszy, więc Ks. Biskup zwrócił się do swych diecezjan, aby mu przyszli z pomocą. Jakże wzruszający był widok, gdy sami biedni

parafianie z Musongati ochotnym sercem przynosili to, co mogli. Przeważnie przynosili fasolę, której też sami nie mają za wiele. Na pewno Dobry Bóg policzy im to jako ofiarę wdowy ewangelicznej, bo i oni dawali ze swego niedostatku... Fasola stanowi ich główne pożywienie, ale nie uprawiają jej wiele, bo nie mogą robić zapasów. W swych nędznych lepiankach nie mają odpowiedniego miejsca za jej przechowanie. Dłużej przetrzymywana staje się łupem pasożytów.

Ale o tym myślą już nasi Ojcowie Karmelici, którzy pragną zbudować duże spichlerze, by zakupioną fasolę w sezonie przechować do czasu głodu i znów po tej samej cenie sprzedać potrzebującym.

Wracając do spraw Małego Seminarium diecezjalnego – pragniemy zaznaczyć, że także od Was, od Dobroczyńców Misyjnych w Polsce, złożyliśmy na ręce ks. bpa Ruhuny – dar z Polski, w postaci kilkudziesięciu ręczników i sztuk mydła, które tutaj od Was zostały przysłane. Ks. bp Ruhuna bardzo ucieszył się Waszym darem i błogosławi Wam z całego serca! Dałyśmy też wyprawę jednemu z naszych młodych parafian, Kandydatowi do naszego Małego Seminarium – z Waszych darów. Gdy mu przedstawiono różne trudności jakie go czekają na drodze do kapłaństwa, odpowiedział stanowczo: „mimo wszystko, ja chcę zostać kapłanem”. Pomódlcie się czasem za tę młodą duszę murzyńskiego chłopca. Bardzo polecamy Waszym modlitwom rozwój pomyślny tego Seminarium, aby gorliwość ks. bpa Ruhuny przyniosła chwałę Bogu, by przyszli kapłani otrzymali nie tylko wiedzę, ale byli kapłanami według Serca Bożego...

Kończąc ten list, dziękujemy Wam Drodzy Przyjaciele Misji za Wasze modlitwy, cierpienia, trudy i dary na rzecz naszej misji w Burundi staropolskim „Bóg zapłać!”

Módlmy się, by Matka Boża wypraszała Wam potrzebne łaski i opiekę na każdy dzień, za Waszą ofiarną pracę dla najbiedniejszych ludzi w Afryce. Szczęść Boże!

Załączamy podziękowanie ks. bpa Ruhuny za Wasz dar!

siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus
misjonarki w Burundi

List Bp. Ruhuna:

Ruyigi (Burundi), 25.08.1976 r.

Drodzy Przyjaciele i Dobroczyńcy z Polski!

Ksiądz Biskup diecezji Ruyigi wraz z Zarządem tutejszego Seminarium Duchownego, dziękuje Wam z całego serca za dar, jaki złożyliście dla naszego Seminarium za pośrednictwem Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, które pracują w tej diecezji.

Chociaż dzieli nas duża odległość, czujemy się prawdziwie braćmi w tym samym Kościele Jezusa Chrystusa, który to Kościół – nasz Ojciec Święty Paweł VI – tak mocno usiłuje utrzymać w jedności.

Z serdecznym podziękowaniem zapewniamy Was o naszej modlitwie we wszystkich Waszych intencjach.

L. Quintard

Niech Pan błogosławi wszystkie Wasze wysiłki podejmowane dla Jego chwały i w służbie bliźnim.

+ Ruhuna, Biskup

Listy O. Nazariusza Kwiatkowskiego:

Czcigodny Ojciec!

Serdecznie dziękuję za liścik. Tu człowieka cieszy nawet króciutki list, zwłaszcza, gdy się listów zbyt wiele nie otrzymuje. Myślę, że list, który wysłałem do Poznania na O. Romualda doszedł do celu i uspokoił Ojca. Wprawdzie nie jechaliśmy absolutnie wprost, najkrótszą drogą do Burundi, ale nawet nie przyszło nam na myśl zjechać do USA, a tym bardziej do Australii.

Przyjechaliśmy, a właściwie przylecieliśmy do Burundi 30 września. Po dziesięciu dniach jakie spędziliśmy razem z O. Bartłojem, nasze drogi rozeszły się. Ja pojechałem wprost do Musongati, by tam na miejscu rozglądać się nieco na terenie misji. Zrobiłem tam nieco czarno-białych zdjęć, ale nie zdążyłem skończyć, bo 16 października wraz z O. Kantym i br. Marcelim pojechaliśmy do Muyaringe. Tu aktualnie przebywam i próbuję wgrzyźć się w tajniki języka kirundi. Nie jestem tu sam. Obok Marcelego i polskiej szarytki s. Bernardy Baian, jest tu jeszcze 17 Włochów, 4 Hiszpanów, 2 Szwajcarki, Meksykanin, Belgijka, Niemka i Amerykanka (te ostatnie to protestantki). Towarzystwo więc bardzo urozmaicone.

Mimo nawału pracy czuję się bardzo dobrze. Zdążyłem się już dawno zaaklimatyzować. Zdrowie – dzięki Bogu – służy. Aby tak dalej.

Nie wiem jak tam z paczkami, bo tu wiadomości dochodzą bardzo rzadko z naszych misji. Cieszę się, że nowe skrzynie wnet Ojciec wyśle do Burundi. Radziłbym wrzucić trochę filmów czarno-białych, kolorowych, papierów. Gdyby Ojciec gdzie dostał cienką kurtkę przeciwdeszczową, lekkie buty do chodzenia – coś w rodzaju pionierów – 42, byłbym bardzo wdzięczny. Z innych rzeczy, naprawdę nie orientuję się czego potrzeba. Będę już kończył ten list, bo wkrótce zgaśnie światło, a chcę skończyć go dziś, bo jutro rano jest okazja do Bujumbury.

Łączę serdeczne pozdrowienia świąteczne i noworoczne dla Ojca, dla O. Przeora i całego Zgromadzenia. Niech nic nie zamąci Waszej radości w Dzień Bożego Narodzenia, a łaska Bożej Dzieciny niech towarzyszy wszystkim tak, by w zdrowiu i radości pełnili wolę Boga na każdy dzień Nowego Roku 1977.

z prośbą o modlitwę

O. Nazariusz Kwiatkowski OCD

Burundi

Burundi, grudzień 1976 r.

+ Drodzy Przyjaciele Misji!

Łącząc się z Wami w radości przy żłóbku, pragnę tą drogą przekazać Wam najserdeczniejsze życzenia.

Niech Światłość przychodząca na ten świat opromieni Wasze życie łaską i przypomni Wam odwieczny zamiar Boży, zbawienia wszystkich ludzi. Wasza modlitwa, życie ewangeliczne, Wasza ofiarność – to wkład w dzieło rozszerzania Kościoła.

Pozostaję z Wami w modlitwie

O. Nazariusz Kwiatkowski
karmelita bosy

Listy O. Józefa Trybaty:

J+M

Musongati, 29.11.1976

Drogi Ojcze!

Boże Narodzenie się zbliża, każdy chciałoby otrzymać list i życzenia od krewnych i znajomych. Wiedząc zaś, że nasi Drodzy Przyjaciele i Miłośnicy Misji również mają prawo do usłyszenia coś z naszego życia, postaram się w skrócie podać, jak wygląda u nas całe przygotowanie do ślubu.

Gdy przychodzi czas, aby młody chłopak założył rodzinę, to najczęściej nie on, ale rodzina przynagla, aby się ożenił. W takiej sytuacji chłopak musi w ciągu kilku dni znaleźć sobie przyszłą żonę. Często przyszła żona upatrzona jest przez rodzinę tzn. przez rodziców i tych wszystkich, którzy należą do tej rodziny tj. bracia ojca. Gdy już chłopak dokonał wyboru i zgodził się na wybraną dziewczynę (co miał robić, głos ojca to przykazanie), wówczas trzeba iść do rady przykościelnej, aby otrzymać poświadczenie, że wszystko jest w porządku. Do takiej rady przykościelnej (np. na stacji misyjnej) wchodzi wybrani przez parafian mężczyźni, już starsi, którzy mieszkają na danym terenie. Oni dobrze się znają, wiedzą jak każdy chrześcijanin się prowadzi, czy chodzi do kościoła, czy przystępuje do sakramentów św., czy ma dzieci ochrzczone, czy itp. Ta tzw. „rada starszych” na małym zebraniu to dyskutuje i wypełnia formularz, gdzie są różne pytania. To samo musi czynić dziewczyna, gdy jest z innej parafii. Otrzymawszy świadectwo „starszych”, młodzi idą do parafii do zapisów. Oczywiście idą do jednej parafii, parafii pana młodego, ale nie idą razem. Każdy przychodzi osobno. Często zdarza się, że chłopak już przyszedł się zapisać do ślubu, a dziewczyny jeszcze nie ma, lub przychodzi o dwie godziny później. Kiedy już spotkali się

przed biurem parafialnym, przedstawiają księdzu owo świadectwo starszych i własne „legitymacje chrześcijańskie”.

Teraz ksiądz zagłąda przede wszystkim co jest napisane na opinii od „rady starszych” czy wszystko w porządku. Dla upewnienia zapytuje się jeszcze raz, czy uczęszczają do kościoła, czy żyją po chrześcijańsku, czy dziewczyna przychodzi myć kościół – co jest jej obowiązkiem wyznaczonym co jakiś czas. Gdy to przejdzie dobrze, następuje mały egzamin z katechizmu. Tu czasem się nie udaje młodym. Dlatego często trzeba odsyłać ich do domu, aby się poduczili przykazań Bożych, prawd wiary, pacierza itp. dopiero po dwóch tygodniach mogą znowu przyjść się zapisać do ślubu.

Skoro znają coś z katechizmu i nie ma innych przeszkód, ksiądz wpisuje do księgi, wyjaśnia ceremonie ślubu i udziela krótkiej nauki z zakresu obowiązków rodzicielskich. Zapis odbywa się dwa razy w miesiącu, a liczba zapisanych w te dni jest różna, zależy od sezonu. Gdy są dobre zbiory i czas „żniw” sorga, wówczas wiele się żeni, gdyż jest z czego zrobić piwo na przyjęcie gości. Jest to okres od lipca do października i liczba ślubów dochodzi do 8 na dwa tygodnie. Śluby odbywają się w kościele we czwartki na Mszy św. o godz. 7.00 rano.

Po zapisaniu do ślubu i wygłoszeniu zapowiedzi przez trzy niedziele, młodzi znowu przychodzą na misje w przeddzień ślubu we środę po południu na drugą naukę przedślubną. Wówczas to ksiądz udziela im nauki o obowiązkach rodziny chrześcijańskiej. W tym dniu też kupują sobie obrączki w swym biurze parafialnym. Są to proste obrączki aluminiowe posrebrzane. Po nauce jest spowiedź dla nich. Wielu przychodzi z daleka do 35 km, więc na noc szukają noclegu u rodziny lub u kogoś, kto mieszka blisko kościoła parafialnego.

Nazajutrz rano odbywa się ceremonia ślubu w czasie Mszy św. Ceremonie ślubne są uproszczone. Na Mszę św. młodzi przychodzą również osobno i często Msza św. się zaczyna, a brakuje pani młodej lub pana młodego. Jeszcze nie przyszedł, choć jego przyszła żona już niecierpliwie ogląda się – przyjdzie ... nie przyjdzie. No, ale przyszedł na czytanie lekcji.

Trzeba wiedzieć, że ojciec panny młodej i pana młodego nie może być na ceremoniach ślubnych swych dzieci. To tu nie wpada. Są zaś, podobnie jak i w Polsce - drużki i towarzyszący młodemu panu jego koledzy.

Trzeba dodać, że chłopak, który chce się ożenić, musi dać rodzinie panny młodej tzw. inkwano, to znaczy pewien „podarek”. Często jest to jedna krowa + 1.600 franków i musi kupić suknię, czasem i buty dla swej przyszłej żony. Skoro ten dar zostanie przekazany i przyjęty przez drugą rodzinę, małżeństwo to jest ważne wg ich tradycji. Dokąd to nie nastąpi, nie uważa się tych dwoje za związanych między sobą.

Pewnego razu nasz jeden robotnik przyszedł do mnie i chce pożyczyć pieniądze. Pytam go więc na co. Odpowiada mi, że chce się żenić, więc musi kupić swojej przyszłej żonie suknię. Więc zgadzam się. Odszedł ucieszony, że będzie mógł teraz się już ożenić. Jednak po kilku dniach przychodzi do mnie zmartwiony. Pytam więc co się stało. Mówi mi, że owa narzeczona mu uciekła, poszła gdzieś i nie ma jej. Odmówiła zgody i przyjęcia nowej sukni. Po kilku dniach ów robotnik znów przychodzi, już uradowany. Pytam się, co nowego. A on spokojnie i naturalnie odpowiada, że będzie się żenił, bo już sobie wybrał inną.

Wracając do ceremonii, trzeba dodać, że młodzi tylko w czasie ślubu „muszą” być obok siebie, a często nawet mimo, że klęczą razem, odwróceni są bokiem do siebie. Młoda pani musi okazać na zewnątrz smutek, zmartwienie, bo opuszcza rodzinę, choć w sercu się

cieszy. Cieszyć się w dzień ślubu, to pogardzać rodziną, z której się wyszło. Stąd młoda pani, chcąc uchodzić za dobrze wychowaną musi być w tym dniu smutna. Zaraz po ślubie każdy idzie w swoim kierunku, tak jak wszyscy inni wychodzą z kościoła po Mszy św.

Oczywiście po ceremoniach w kościele, w domu są jeszcze inne tradycje, których jeszcze dobrze nie znam. Na uroczystości weselne zapraszana jest cała rodzina. Takie wesele trwa dzień lub dwa, zależy ile było piwa. To byłaby w skrócie opisana ceremonia ślubu w Burundi. Czasem widzi się pewne naśladownictwo stylu europejskiego, ale to są wyjątki. Wprowadzają to często ci, którzy gdzieś się coś uczyli w szkole wyższej, np. uczniowie liceów, szkół zawodowych.

Niech to będzie choć pewien obraz tutejszej rzeczywistości afrykańskiej, zaobserwowanej przez nas w Burundi. W innych krajach Afryki są inne zwyczaje. Pod tym względem Afryka jest bardziej zróżnicowana niż Europa.

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia przesyłam Drogim Dobrodziejom i Przyjaciółom Misji serdeczne życzenia od nas wszystkich Ojców i Sióstr z Mpinga i Musongati. Dziękujemy za pomoc naukową i materialną. Modlimy się za Was, aby Pan Swoim Narodzeniem wprowadził pokój Swój w serca Wasze i napełnił Was radością.

O. Józef Trybała k. b.

Drogi Ojciec – oto kilka wiadomości.

O. Teofil pojechał do Nairobi na zjazd karmelitów znających misje w Afryce, ale go nie wypuścili z lotniska. Nie otrzymał wizy i musiał po trzech dniach i nocach pobytu w poczekalni powrócić do Burundi.

Jutro przyjedzie s. Assumpta, Wikaria Generalna Sióstr Karmelitanek od Dzieciątka Jezus. Jutro też ma przyjechać jeden z Definitoriów Generalnych z Rzymu, który wraca z Nairobi ze zjazdu.

O. J.

Listy O. Bogustawa Woźnickiego:

Musongati Boże Narodzenie 1976

Wigilia pod Krzyżem Południa

To słowo wrusza i czasem wspomnień przemawia do duszy!

Wigilia!

Barwy przez cały rok wyblakłe ożywiają się, myśli, uczucia zapomniane budzą się w promiennych blaskach wigilijnych. Ludzkie serce improwizuje pieśń miłości i wzywa wszystkich do stajenki betlejemskiej!

Wigilia!

Ileż to już razy, w rozmaitych miejscach, niezwykłych okolicznościach zasiadałem przy wigilijnym stole!

Pamiętam pierwszą, tę najdawniejszą wigilię, w miesiąc po śmierci mego Ojca. Zginął w Dolomitach jako strzelec alpejski. Pamiętam, było wówczas dużo śniegu i wiele łez mojej matki... Ja nie płakałem. Za mały byłem. Nie potrafiłem ocenić ogromu straty ani łez Matki!

Pamiętam i następną. Późną jesienią spłonął rodzinny dom. Ocalała kamienna podmurówka, która przed pożarem służyła za oborę. I w tej stajence, razem z bydłami obchodziłem moją drugą wigilię.

Potem były wigilie u obcych ludzi. od najwcześniejszej młodości musiałem ciężko pracować na własne utrzymanie. Po wielu, wielu latach była pierwsza wigilia w Karmelu – długi czas najpiękniejsza w życiu.

W drugim roku kapłaństwa pamiętam wigilię w szpitalu. Parę dni przed wigilią zostałem zawrócony z połowy drogi do wieczności.

W roku 1944 była wigilia, której nigdy nie zapomnę. Wigilia skazańca. Wigilia na Bloku Śmierci. W Auschwitz. Niepowtarzalna. Jedyna. Wszystko przemawiało za tym, że ostatnia w życiu.

Bóg chciał inaczej. Po tej, która według wszelkich obliczeń miała być ostatnią, było szereg innych. Między innymi i ta pod Krzyżem Południa, w Burundi, pod drugim stopniem szerokości geograficznej – południowej.

W nocy poprzedzającej wigilię, mieliśmy burzę tropikalną. W jednym z poprzednich listów opisywałem burzę w ciągu dnia. Ta nocna, w swojej grozie, była tak urzekająca, że odważyłem się wyjść na werandę domu. Wiatru nie było. Wydawało mi się, że stoję w Arce Noego, że razem z tymi strumieniami wody popłynę do pobliskiego „wadi”, gdzie teraz szumiał groźny potok. Strugom deszczu towarzyszyły gwałtowne wyładowania atmosferyczne. Miałem wrażenie, że na tę burzę gromadzono w obłokach energię elektryczną co najmniej 10 lat!

Czarne niebo przecinały raz po raz błyskawice, we wszystkich kolorach świata: fioletowe i białe, purpurowe i zielone, żółte i czerwone, pomarańczowe i seledynowe. Trwało tak długo, że mimo woli nasuwały się słowa św. Szczepana: „Videp coelos apertos! Widzę niebiosą otwarte!”

Nieustanny grzmot przypominał huraganowy ogień artylerii, przygotowujący przełamanie frontu!

Było już dobrze po północy, kiedy wróciłem do swego pokoju. Ochłodziło się znacznie. Nie brzęczały zatem uprzykrzone moskity, nie fruwały również, wielkie jak europejskie wróble, afrykańskie ćmy.

Spałem długo. Po przebudzeniu się zastałem ranek tak piękny, że gdyby nie kałuże wody wokół misji, można by sądzić, że nocna burza była tylko snem!

Dzień, jak na Afrykę chłodny, bo tylko 24 stopni C, ale może dlatego właśnie ten afrykański grudzień przypominał mi polski maj. Maj i Zielone Świątki. Miary dopełniły kukulki i przedziwny, jakby w języku „kirundi” śpiew tutejszych ptaków. Tylko z gęstwiny dolatywało polskie „psiakrew, psiakrew” afrykańskich perliczek.

Była w tym wszystkim jakaś nieopisana radość. Radość z poranku, ze słońca, z życia i swobody, z jutrzejszego Świąta.

Po Mszy – nauka miejscowego języka. Pasterka będzie w „kirundi”.

Na misji wyczuwa się świąteczny nastrój. Brat Marceli, nasz inżynier-budowniczy wypłaca murarzy i pracowników wykańczających domek sióstr misjonarek. Będzie to

najpiękniejszy dom Karmelitanek Dzieciątka Jezus. Nawet Balice mu nie dorównują! O. Józef wykorzystuje fakt, że w nocy spadł obfity deszcz i razem z ministrantami sadzą las. Nie łatwo przyjmują się tutejsze drzewka. Nasionka umieszcza się w plastikowych torebkach, a gdy już sadzonka nadaje się do rozsady, razem z torebką wykopuje się ze szkółki, lekko nacina bok torebki, tak, że drzewko „nie wie”, że zostało przesadzone i przyjmuje się. Sposób dość kosztowny, ale jedyny. O. Jan Kanty, przełożony misji w Musongati – wykańcza sprawy kancelaryjne, bo jutro biuro parafialne nie będzie czynne.

Salwator sprząta korytarze, salę zebrań, jadalnię. Po południu spodziewamy się gości. Zjedzie tutaj cała Mpinga i przyjdą Siostry Misjonarki. Libertus przygotowuje specjały na wieczerzę wigilijną. Wolę nie wiedzieć jak on to robi i skąd bierze wodę do gotowania: z beczki, gdzie pływają urodziwe dżdżownice, czy też z wodociągu. Raczej z beczki, bo prędzej się nabierze, a na tę z wodociągu trzeba trochę poczekać, aż się wiaderko napelni. S. Zygmunta po wiele razy zwracała mu uwagę, że ta z beczki jest do zaprawy murarskiej, a z wodociągu na zupe, ale mu się zawsze myli! No, nic dziwnego, jest zakochany. Po świętach szykuje się u nas wesele.

W kościele praca wre. Posadzki nie trzeba myć. Przeciwnie, trzeba wynosić nadmiar wody z nocy, bo dach trzinowy jest już nieszczelny. Od deszczu zarysowała się niebezpiecznie ściana w prezbiterium z malowidłem brata Sylwestra. S. Zenobia przygotowuje szopkę. Porostów i mchu w Burundi nie brakuje. Wybrała najpiękniejsze gatunki, więc szopka, mimo woli, przypomina góralską, gontami kryta chatę.

Przełożona domu, S. Zygmunta, ma wolny dzień. Pisze listy. Za stół służy skrzynia. Stołu się jeszcze nie dorobiła. Krzesła także nie ma. Siedzi na eukaliptusowym pieńku. Nie powiem, żeby to było wygodnie, ale jej wina. Prawdziwe krzesło - dar naszej misji, zaniósła do ośrodka zdrowia, „żeby ciężko chorzy mogli sobie wygodnie usiąść”.

Parę lat temu widziałem porą zimową napisy w Insbrucku: „Alles fur Winterrapart” – wszystko dla zimowych sportów. Ona mogłaby wywiesić tabliczkę: „Alles fur Kranken!” Wszystek czas, wszystkie siły, spoczynek, posiłek, nawet noc. Wszystko! Oby Ci, Kochana Siostró, tych sił starczyło na długie lata!

S. Julianna w wielkiej tajemnicy przygotowuje jakieś polskie dania na wieczerzę. A więc do kuchni „Eintritt verboten!” A do tego jeszcze na mnie „zła”, że nie przywiozłem maku na strucel. Nie pomogła ani „wedlowska mieszanka”, ani prawdziwy „oscypek”. Nie pomógł nawet – wielki jak arkusz kancelaryjnego papieru – śnieżnobiały opłatek. „Po co to ojciec przyjechał, skoro maku nie przywiózł?”

S. Bogumiła zaangażowała uczennice ze szkoły gospodarczej do sadzenia kwiatów wokół statuy Matki Bożej. Klasztorzek jeszcze nie wykończony, ale od paru tygodni na wyniosłym cokole na klasztornym wzgórzu dominuje posąg Królowej Karmelu. Uśmiechają się do Niej rozkwitłe niezapominajki, wielobarwne gerbery, urodziwe stokrocie, portulaki, bratki i inne jeszcze kwiaty.

Koło południa zaczęli ściągać pierwsi parafianie. To ci z najbardziej odległych zakątków naszej parafii. Szli niektórzy dwa dni. Są przepięknie ubrani. Nie tylko dziewczęta i kobiety, ale nawet poważni mężowie i młodzieńcy przywdziali na siebie narodowe stroje. Fantastyczne kolory. Na tle seledynowego, bananowego lasku wyglądają jak maki i bławaty z zielonej pszenicy.

Mężczyźni pala fajki, kobiety i dziewczęta poszły w busz zbierać trawę. Potrzeba jej dużo. W nocy po Pasterce będą spać w salach szkolnych i w katechumenacie, na tej właśnie trawie. Chłopcy zbierają drzewo. Przed północą będzie rozpalone olbrzymie ognisko.

Wszyscy przynieśli ze sobą w ananasowych liściach odrobinę manioku i trochę fasoli. To będzie ich cała wieczerza wigilijna. Jest mi ich serdecznie żal, są na pewno głodni. O tej fasoli będą do jutra do wieczora!

Po południu nasz dom „okupują” Siostry Misjonarki. Wieczerza będzie wspólna. Wprawdzie Salwator sprzątał całe pół dnia, ale S. Julianna wygarnęła dużo śmieci, które nasz porządkowy pozmiatał pod szafy. S. Julianna upomina go i tłumaczy, że przyjdą goście, jakże on mógł śmieci pod szafami zostawić. Na to Salwator, z polska nazwany „Kajtek” miał podobno powiedzieć: „Oby żółta febra wybiła takich gości, którzy w domu gospodarza pod szafy zagląдают”. Nie słyszałem tego osobiście, opowiadam o tym na odpowiedzialność s. Julianny.

Ubieramy wszyscy białe habity. Brat Marceli przygotowuje choinkę. Naszą jodłę z powodzeniem zastąpiła araukaria. Śliczne szpilkowe drzewo, ale kole niczym jałowiec. Libertus i Salwator, gdy zobaczyli udekorowaną choinkę, cieszą się jak dzieci, klaszczą w dłonie i gdyby było więcej miejsca wykonaliby taniec Watusi. Było już ciemno, gdy z Mpinga przyjechali oczekiwani goście. O. Teofil Kapusta, O. Sylwan Zieliński, O. Eliaz Trybała, O. Jan Wołek, O. Klaudiusz Spyрка. Przyszła również s. Zygmunta z pozostałymi siostrami.

Wieczere zaczęliśmy wspólną modlitwą. Przełożony Misji składa życzenia O. Prowincjałowi i mnie jako opiekunowi misji. W gorących słowach dziękuje również wszystkim zelatorom poszczególnych domów w Polsce i Przyjaciołom naszej afrykańskiej misji. „Jeżeli coś dobrego mogliśmy zrobić, jeżeli mogliśmy kogoś uratować przed śmiercią głodową, to tylko dzięki Waszej pomocy materialnej, dzięki Waszym modlitwom, dzięki Waszemu poświęceniu”.

Z kolei zabiera głos O. Prowincjał i jak zawsze, tak i teraz w serdecznych, a w głębokich słowach życzy Ojcom i Siostram pomyślnych wyników w pracy misyjnej oraz tego wewnętrznego rozradowania z dobrze wykonanego obowiązku, bo kiedy serce człowieka wypełnione jest po brzegi radością, wówczas gotowi jesteśmy to serce otwierać i z wszystkimi dzielić się tym, co najdroższe. A, że nie ma na ziemi nic droższego nad chleb – więc dzieli się chlebem – opłatkiem. Opłatek, to znak rozradowania wewnętrznego i znak otwartego serca. „Oby Drogie siostry Misjonarki i ojcowie Misjonarze mieli zawsze otwarte serca na potrzeby naszych Czarnych Braci” zakończył O. Prowincjał.

Potem zabrzmiała kolęda. Tradycyjna „Wśród nocnej ciszy”, i zasiedliśmy do kolacji. Libertus i s. Julianna współzawodniczyli dziś między sobą w sztuce kulinarnej. Najpierw był barszcz czerwony, polski barszcz z uszkami. Dzieło naszej s. Julianny. Potem przyszła kolej na Libertusa. Postawił przed nami afrykańskie danie: ybiraya i amaszczu, czyli młode kartofle i tamtejszą kapustę, ale jak przystało na Afrykanina, zamiast karpia, dzwonki pieczonego węża. I kapusta i ziemniaki i pieczeń były tak wspaniale przyrządzone, że gdyby nie względy przyzwoitości i manieri dobrego wychowania, poprosiłbym o repetę.

Potem s. Julianna podała kapustę kiszoną z polskim „Jaśkiem”, a Libertus popisał się znakomitym omletem z „solanum antropophagorum”. Polska nazwa „Solanum” jest o wiele łatwiejsza do zapamiętania. Jest to zwyczajna „sałatka ludożerców”. Proszę się jednak nie przerażać. Od 70 lat nie zjedzono w Burundi białego. Dawniej służyła jako przyprawa do

kotletów z ludzi. Czarny, owszem padnie i dzisiaj ofiarą dawnych nawyków, ale białych jest stanowczo za mało w Burundi. Rośnie sobie zatem to trawsko, a starzy Murzyni spoglądając melancholijnie na sałatkę powiedzą między sobą: „i cóż z tego, że sałata rośnie, skoro kotletów brak!”.

Z dawnego ludożerstwa pozostały jednak reminiscencje, bo s. Zygmunta nie raz już słyszała, jak skarżyli się chorzy, że boli go „prawa pieczeń” lub „połudwica”.

Było i różnorakie pieczywo, a na deser wspaniałe owoce. Pieczona passiflora o delikatnym kwaskowym smaku i królewski owoc: mango, tak soczysty, że należy go jeść w wannie, - potem papaje o smaku terpentynowym, bardzo cenione na stołach białych, gdyż po zjedzeniu kilku plasterków tego owocu, odczuwa się subtelny apetyt (papaja zawiera duże ilości pepsyny). Maleńkie jak paluszki banany i podobne do naszych pomidorów, japońskie śliwki, pomarańcze...

Nie brakło też napitków. Było podwójne afrykańskie „pombe”. Jedno z bananów, drugie z sorgo. Czarni jedno i drugie piwo piją wprost z tykwy. Ja jednak wolałem widzieć co piję, więc poprosiłem o szklankę. To piwo z bananów przypominało odrobinę kwas chlebowy, z sorgo natomiast - wigilijny żur, albo rozpuszczony krochmal z małą domieszką cytrynowego kwasu.

Po dziękczynnej modlitwie, kolędy z płyt. Ojcowie z Mpinga musieli wrócić przed 12-tą, a ja próbowałem zasnąć. Ale jak tu spać, kiedy przed oknem śpiewa i tańczy 1.000 Czarnych!

Płonęło ognisko, a właściwie olbrzymi stos eukaliptusowego chrustu. Nieśmiało zrazu płomienie zaczęły coraz wyżej wstępować w granatowe niebo. Wokół roztaczał się aromatyczny zapach, niby woń drogocennego kadzidła, bo eukaliptus zawiera ogromną ilość olejku eterycznego.

Pytam naszego katechistę Saturnina:

- Czy zawsze w Noc Bożego Narodzenia palicie ognisko?

- Tak!

- Dlaczego?

- Aby ogrzać Dzieciątka w Betlejem. Tam jest zimno!

Wzruszyła mnie do głębi ta pełna prostoty odwiedź. Byłem zawstydzony dziecięcą wiarą naszego katechisty, który tu pod Równikiem zbierał nocą eukaliptusowy chrust, by Jezusowi było ciepło w zimnej betlejemskiej stajence.

Jakże czarowna jest Bożonarodzeniowa Noc. Wokół ogniska wszyscy tańczą. Zdolność do tańca jest człowiekowi od początku wrodzona. Gdy pierwszy człowiek nie potrafił odpowiednio zmanifestować swoich uczuć, czy to względem Boga, czy sił natury, czynił to za pomocą tańca. Taniec był i jest czynnikiem wywołanym przez radość i wywołującym radość.

Same dłonie składają się do oklasków na widok niezwykłych ewolucji tanecznych. Jak potrafią Boga wielbić tańcem, miałem dopiero przekonać się parę chwil później, w kaplicy.

Ale oto Ingoma Ntare, czyli Tam-Tam Królewski (taki miejscowy „dzwon” od wielkiego święta) wzywa wszystkich do kościoła. Natychmiast milkną śpiewy, przygasa ognisko i w głębokim skupieniu udajemy się do kaplicy, która na tę noc jest specjalnie iluminowana przez naszego „drucika” czyli O. Józefa. Dyskretnie poumieszczone kolorowe żarówki sprawiły, że zwyczajna eukaliptusowa konstrukcja dachowa i trzciniowa strzecha

wyglądają jak barwne stalaktyty. Bukszpanowe festony, bajecznie kolorowa szopka z Bożym Dzieciątkiem, oczarowały wszystkich. W szczególniejszy sposób zachwycone są dzieci. Każdy Murzynek chce ucałować Białego Jezuska. Bezceremonialnie biorą Go ze Żłóbka, ściskają w niedomytych dłoniach, przytulają do umorusanych buzi, wnet więc Biały Jezusek stał się czarny jak one, a po paru chwilach nie miał ani główki ani nóżek. Koniec „adoracji”. Przyspieszyła Msza święta. S. Zenobia zna tutejsze zwyczaje. Miała przygotowane „awaryjne” Dzieciątko, ale już umieściła je tak wysoko, że nawet najwyższe Murzyniátko nie mogło dosięgnąć. Wyszła Msza.

Na Introit kolęda w rytmie naszej „Przystąpmy do szopy, uściskajmy stopy” z łacińskim motywem: „Gloria, gloria in excelsis Deo”. Piękna tej kolędy nie potrafię opisać. Dotąd byłem przekonany, że kolędy najpiękniej śpiewają w Polsce. Dziś jestem w rozterce, komu przyznać pierwszeństwo. Nie wystarczy zanotować dźwięki, koniecznie trzeba je usłyszeć w miejscowym wykonaniu przy akompaniamencie tutejszych instrumentów muzycznych. W czasie Mszy – homilia. Nie długa. Matki tym razem nie szczypały dzieci. Nie wiem czy już w poprzednich relacjach pisałem, że w Burundi jest taki niepisany zwyczaj, który pozwala kaznodziei wcześniej skończyć homilię. Gdy ksiądz – jak się to mówi „nie może trafić do królestwa niebieskiego” – matki dość bezceremonialnie podszczypują swoje pociechy i w kościele rozpoczyna się taki koncert, że kaznodzieja chcąc nie chcąc musi kończyć homilię.

Wprawdzie jestem w koncelebrze, ale bacznie obserwuję cały kościół. Widzę jak Saturninus, który jest takim honorowym kościelnym w Musongati zbiera kolektę. Od czasu do czasu spadnie jednofrankowa moneta, przeważnie jednak dają po parę ziarenek fasoli. Widzę, jak matka daje na pół ogryzionego banana, którego trzymało w buzi małe Murzyniátko. Przy szopce, jako dar dla głodnych widzę również fasolę, groszek, banany, maniok... Wzruszające! Ci, którzy sami nie wiele posiadają, dzielą się z tymi, którzy nie mają nic.

Po ofiarowaniu taniec liturgiczny.

Najpiękniejsze dziewczęta, w najpiękniejszych narodowych strojach, w takt tam-tamów, tanecznym krokiem, z gestami pełnymi szacunku i oddania, hołdu i miłości podchodzą do ołtarza, na którym symbolicznie składają własne serca. Siebie samych jako dar. Scena była tak wzruszająca, że teraz kiedy te słowa piszę, mam łzy w oczach.

Ale Msza postępuje dalej. Dotychczas nie miałem jeszcze trudności w liturgii miejscowej, gdyż byłem tylko widzem. Z niepokojem czekam na Modlitwę Eucharystyczną. Po Prefacji miejscowy – Trisagion: Mutagatifu! Mutagatifu! Mutagatifu! Mukama Nana y Ingabo! Święty, Święty, Święty Pan Bóg Zastępów.

Drugi kanon i oto po raz pierwszy na moje słowa wypowiedziane w języku rodzimym moich Czarnych Braci: „IKI N’UMUBIRI WANJE UZA GUTAGWA KU BANYU” – Pan zstępuje na ołtarz! Po Komunii świętej, która trwała więcej jak godzinę, chociaż rozdawaliśmy we trójkę, dziękczynienie. Najpierw modlitwa Didache w kirundi, a potem dziękczynny taniec. Inna grupa dziewcząt z innego szczepu, a więc inaczej ubrana, radośnie płąsa. Mimo woli przypomina mi się król Dawid tańczący przed Arką!

Po Mszy, długo w noc rozbrzmiewają kolędy, ale, że o jedenastej czeka nas druga koncelebra w odległej Mpinga, więc próbuję zasnąć.

Ognisko powoli wygasa. Ci, którzy bliżej mieszkają, wracają do swoich inzu, ci z dalszych stron, kładą się do snu na pachnącej stepem trawie, którą wczoraj troskliwie „Umugabo” zaścieliły sale szkolne i katechumenat.

Krzyż Południa także powoli gaśnie, a mnie kleją się oczy i zasypiam, tym bardziej, że „drucik” wyłącza agregator. A więc dobranoc moi Przyjaciele w dalekiej Polsce.

O. Bogusław Woźnicki

Burundi 1976

Drogi Ojcie Albinie!

Na samym wstępie najserdeczniej pozdrawiam O. Zelatora i dziękuję za pomoc, jaką przez ręce Ojca otrzymuje Burundi. Przy tej sposobności dziękuję również wszystkim innym ojcom zelatorom misyjnym oraz tej bezimiennej rzeszy współpracowników, dzięki którym, jak to powiedział wczoraj w Musongati O. Teofil, nasi ojcowie Misjonarze nie głodują. Co więcej, mogą nawet z innymi podzielić się, nie tylko kromką chleba, gdyż chleb jest nie znany w Burundi, ale raczej workiem tapioki lub mąki kukurydzianej.

Po tygodniowym pobycie w Musongati, przenoszę się dzisiaj rano do Mpingi. Jest to nasz główny dom, gdzie urzęduje Wikariusz Prowincji Przewielebny O. Teofil Kapusta. Przełożonym domu jest W. O. Sylwan Zieliński. Ekonom W. O. Klaudiusz Spyрка. Jest tu także O. Jan Wołek i O. Elias Trybała. Obsada, jak widzimy, dobra.

Odległość od Musongati w linii powietrznej 10 km, ale chcąc dostać się z Musongati do Mpinga trzeba zjechać w dolinę rzeki Myamabuye przeszło 1.000 m. A więc zjeżdżamy. Ustawicznie w dół. Spadki drogą są tak niespodziewane, drogi tak przepaściste, że chciałoby się, by nas Volkswagen miał również i skrzydła i rozwijał je przy zjeździe.

Często się zdarza, że małpy wieczorem – ot, tak dla zabawy – wykopią przez całą szerokość drogi rów. W nocy pada deszcz, kierowca myśli, że to „normalna” kałuża, którą łatwo przeskoczy, a tymczasem czuje, że przednie koła w pułapce, a karoseria osiadła na szosie!

W porze deszczowej są również niebezpieczne wiszące nad drogą skały, które w każdej chwili mogą zatarasować drogę, a przy okazji z Volkswagena zrobić „harmonijkę”.

Mostki – przeważnie drewniane – zamiast się wspierać na filarach, stoją na „słowie honoru!”. Oprócz tego nigdy się nie jest pewnym, czy tej nocy termity nie miały tutaj biesiady! Nie rzadko, tam, gdzie się przejeżdża w bród, trzeba po ulewie poczekać parę godzin, aż woda opadnie! Tym razem wszystko było w normie. Termity nie zjadły żadnego mostu, rzeka po wczorajszej ulewie opadła, nie było małpich pułapek na szosie, wszystkie skały twardo trzymały się gruntu, więc bez specjalnych przeszkód posuwaliśmy się naprzód.

Lasów nie ma. Od czasu do czasu spostrzegam kępy zieleni. Interesująco wyglądają rzadkie w tym kraju baobaby, oplecione gęstymi korzeniami rododendronów. Miałem ochotę taki baobab zobaczyć z bliska, ale ostrzegł mnie O. Józef, że prawie w każdym baobabie mieszka czarownik, z których słynne jest Burundi i nie wiadomo, jakby zareagował na naszą wizytę. Gdzie ziemia żyzniejsza, rosną kępy afrykańskich mirtowców. Dość często na tej wysokości (900 m.n.p.m.) spotykamy figowca i znane nam w Polsce fikusy, które tutaj

dochodzą do 40 metrów wysokości. Z kory fikusów szyją sobie tutejsze elegantki sukienki. Szorstkie to i ostre jak włosienica, ale odpowiednio wyprawione, wdzięcznie się nosi. Np. Masajowie, szczerp zamieszkujący pogranicze Burundi i Tanzanii nosi ubrania tylko z kory fikusa.

Kilka kilometrów droga biegnie równolegle z korytem rzeki Nyamabuye. Płynąc leniwie, tworzy liczne rozlewiska, z których wystrzelają ponad wodę wyniosłe papirusy. W Europie rosną tylko w doniczkach, tutaj osiągają imponującą wysokość. Tubylcy sporządzają z nich bardzo lekkie, niezatapialne łodzie. Bylinę tę, należącą do tropikalnej flory bagiennej, uprawiali już Egipcjanie, którzy z rdzenia jej czterometrowych pędów sporządzali papirus, sklejąc świeżo pokrojone paski rdzenia i susząc je. Trwałość papirusu jest prawie niezniszczalna! Z włókien łądyg wyrabia się liny i maty.

Inną osobliwością terenów, przez które prowadzi droga, to paprocie – drzewa. Wyglądem swoim przypominają trochę palmy, a trochę nasze przydrożne wierzby. Zerwany przeze mnie liść paproci nie mieści się wewnątrz samochodu!

Mijamy małą miejscowość Ngara. Droga zaczyna się wznosić w górę. W pewnym momencie przejeżdżamy przez dorodny las szpilkowo-eukaliptusowy. „To protestancka misja” – objaśnia O. Józef. Protestantów w Burundi jest ponad 170 tys. Misje bogate, bo subsydiowane przez protestantów szkockich. Misjonarze, tak nasi jak i protestanci zawsze sadzą las wokół swojej misji. Można nie zauważyć zabudowań, ale jak się widzi las, można być pewnym, że trafiło się na misję! Ta, którą mijamy, powstała jeszcze przed wojną światową. Jest doskonale zagospodarowana, posiada własną elektrownię, doskonałą źródłaną wodę, szkoły, warsztaty, szpital, ośrodek socjalny!...

Ale oto jesteśmy już w Mpinga. Misji naszej nie widzimy – jest schowana w cieniu olbrzymich eukaliptusów. Widać natomiast olbrzymi eukaliptusowy Umusaraba – krzyż, postawiony parę miesięcy temu przez brata Sylwestra. Osiągnęliśmy imponującą wysokość – 2.065 metrów n.p.m. Jak na dłoni widać Musongati. W prostej linii 10 km, ale licznik mówi, że przejechaliśmy 54 km. Stajemy na chwilę. Nie mogę nasycić oczu fantastycznym widokiem, który się przed nami roztacza. Przed oczyma wspaniała równina przecięta meandrami granicznej rzeki Malagrazari. Nie dymi tu żaden komin fabryczny, nie ma spalin samochodowych, więc powietrze jest kryształowo czyste. I chyba ta przejrzystość sprawia, że wszystko jest zarazem bliskie i niedosiężne, rzeczywiste i nierealne. Mimo woli przypomina się Góra Nebo, skąd Mojżesz oglądał Ziemię Obiecaną i Góra Kuszenia, z której widać było wszystkie królestwa świata!

Byłem w Salzkammergut, z Wild Kaiser podziwiałem panoramę Alp, byłem na szczytach naszych Tatr, ale to co teraz oglądam zatyka dech w piersiach i wprawia w zachwyt, że chcę śpiewać:

„Wielbijcie Pana, wy ziemie i morza –
wy krasne kwiaty i ptaszące chóry –
źródła wód żywych, błękitne przestworza –
wy lasy sine i podniebne góry!”

Z tej odległości Kilimandżaro rzeczywiście nie widać, ale na horyzoncie rysuje się drugi, co do wysokości, afrykański szczyt: Honago.

Jeszcze jedno skrzyżowanie, potem długi odcinek szerokiej drogi i jesteśmy na miejscu. Na spotkanie wychodzi cała brać misyjna. Pół godziny później przyjeżdża również

O. Prowincjał, przebieramy się w białe habity i udajemy się do kościoła, bo wierni już czekają.

Kościół nie odznacza się jakąś wyjątkową architekturą. Jest jednonawowy, z metalową konstrukcją dachową, ołtarz widoczny ze wszystkich stron.

Przy ołtarzu aż dziewięciu kapłanów. Mpina jeszcze nigdy tylu białych księży nie widziała! Jest jeszcze dziesiąty – nasz Brat Inżynier – Marce! Ubrany w albę pełni obowiązki lektora!

Śpiewy liturgiczne i miejscowe kolędy wypadły jeszcze wspanialej, jak wczoraj w Musongati. Parafianie chcieli się popisać przed „ważnymi osobistościami,” tak nas swoim parafianom przedstawił O. Teofil.

Prezbiterium wypełnione czarną służbą ołtarza! Ministranci na bosaka, ale ślicznie im w śnieżnobiałych komeżkach i złocistych kapturkach. Obok prezbiterium ze sztandarami stoi Legion Maryi. Jakże urodzive są tutejsze dziewczęta, jak przystojni czarni chłopcy! Rośli jak eukaliptusy, smukli jak seye! Moi Czarni Bracia nie mają mi chyba za złe, że ich bacznie obserwuję. Urzeka mnie ich wiara, która promieniuje z ich postawy. Jest w nich jakaś świeżość, żarliwość. Są dumni z tego, że należą do Kościoła katolickiego!

Msza święta w miejscowym języku. Obok ołtarza stoją Tam-Tamy. Zainteresował mnie szczególnie jeden. Większy jak inne. Przystrojony czerwono-złotymi szarfami. To Ntare-Ingoma, Tam-tam Królewski. Kiedyś, gdy krajem rządził król, ten tam-tam odzywał się tylko wówczas, kiedy monarcha zjawiał się w wiosce. Obecnie Ntare-Ingoma należy do inwentarza kościelnego. Odzywa się na Przeistoczenie Chleba i Wina. Wszystkim wówczas wydaje się, że do świątyni wkracza Król! Na moment świątynię zalega przenikająca cisza. Milkną nawet wiecznie zapłakane dzieci. Mnie, w tym momencie, przypominają się słowa Liturgii Bożego Narodzenia: „Dum medium silentium omnia tenerent, Omnipotens Sermo tuus a regalibus sedibus venit! Gdy wszystko było pogrążone w głębokim milczeniu, wszechmocne Słowo Twoje z wysokości niebios zstąpiło na ziemię!...

Po Mszy św. zaproszenie na akademię ku czci Gości z Polski. Przed tym jemy obiad. Bardzo skromny. Gotują Czarni. Potrafią nawet smaczną potrawę tak przyrządzić, że trzeba dużego umartwienia, by ją jeść. Dziś czekała nas niespodzianka. Ekonom misji, O. Klaudiusz ogłosił wszem i wobec, że będzie comber z gazeli, takiej afrykańskiej sarny. Z trudem dała się kroić ta „gazela”. Susząca się skóra ze starej kozy wyjaśniła, że była to kozina, a nie comber z gazeli.

Przypomniała mi się wówczas historia z obozu w DiPi w Gancker. Mieszkaliśmy tam razem z Włochami i Jugosłowianami. Włosi lubią bardzo carne de vitello, czyli cielęcinę. Oddawali za nią nawet unrowskie „Camele”. Ale w końcu brakło cieląt, a Włosi dopraszali się mięsa. Wobec tego zaczęły ginąć w okolicy koty. Trwało to dość długo i sympatyczni „Italiańcy” zamiast carne de vitello, zjadali się carne de gattion – kociną! Dopiero suszące się w polskim sektorze kocie skóry, zdemaskowały Polaków. Była potem jakaś awantura, nie tyle z Włochami, ile raczej z Niemkami, gdyż w całej okolicy wyginęły koty. Sprytni Polacy łapali je na walerianę!

Na akademię składały się przemówienia, tańce poszczególnych szczepów, improwizowane piosenki. I przedstawienie! Obrazujące przyjazd nowych misjonarzy do Burundi...

Potem obowiązkowa sjeść. Do godziny trzeciej białemu nie wolno bezkarnie wychodzić na słońce, chociażby nawet w tropikalnym hełmie. Jest to czas jasnego blasku i milczenia. Afryka aż bieleje z żaru. Milkną nawet wiecznie rozgadane remizy na wysokim eukaliptusie.

Gdy słońce nachyliło się ku zachodowi, wyszliśmy do ogrodu. Jest piękniejszy niż Ogród Botaniczny we Wrocławiu! Obok kościoła kwitną dwie wspaniałe agawy – sizale. W Burundi tę roślinę uprawia się na skalę przemysłową. Dostarcza cennego surowca eksportowego: sizalu. Tu na misji rośnie dla ozdoby. Bo też prezentuje się wspaniale. Oliwkowo-zielone liście mają żółto-białe obrzeżki. Sizal kwitnie raz w życiu: w Europie po 50 latach, w Afryce po 8 latach. Wystrzela wówczas ze środka wysoka na 8 metrów łodyga pokryta tysiącem kremowych kwiatów. Po opadnięciu kwiatów na potężnej łodydze, która zmagazynowała parę wiader wody, wyrastają młode agawki i strącone za ziemię szybko ukorzeniają się.

W pobliżu lasu, rośnie kępa bambusów, łodygi o przekroju 20 cm wystrzelają na wysokość 40 metrów. Młode pędy zastępują na stole afrykańskim europejskie szparagi. Bambus jest odporny na termyty, dlatego jest bardzo poszukiwany i niszczone przez czarnych. Piękną naturalną altanę tworzy zwisająca w amarantowych kwiatkach Boungainwilea. Nie znam polskiej nazwy tej rośliny. Posiada kwiaty podobne do ozdobnego groszku. Z daleka wyglądają jak stado barwnych motyli.

Obok bambusów rośnie drzewo, podobne do naszego kasztanowca o kwiatkach przypominających kielichy lilii. Świeżo rozkwitłe pachną przyjemnie, przekwitłe cuchną jak zdechły kot.

W ogrodzie warzywnym widzę dojrzałe pomidory, japońskie śliwki, ananasy, kapustę, fasolę szparagową, słodki groszek i różne odmiany afrykańskich sałat łącznie z „Solanum antropophagorum”, bo ta, pomimo swej nie bardzo chlubnej przeszłości jest bardzo smaczna, podobnie jak niektóre gatunki jadalnej opuncji.

Rosną drzewa mangowe o liściach tak zwartych, że nie przepuszczają ani promyka słońca, papaje, figowce, polskie maliny, poziomki.

Wszystko to okolone jest naturalną „zeribą”, płotem aloesowym. Ten płot jest tak szczelny, że nawet wąż przez niego nie prześlizgnie się.

Ogród kwiatowy pyszni się różnokolorowymi gerberami, polskimi astrami, lwimi paszczkami, fuksją, afrykańskimi fiołkami. Tak trochę na pół dziko rosną kany, dalie, irysy, werbeny i wiele, wiele innych kwiatów, których nazw nie pamiętam ani nie znam. Widzę je po raz pierwszy w życiu. Oprócz eukaliptusów, afrykańskiej sosny, różnych cyprysów, rośnie afrykański świerk zwany araukarią. Podziwiam śliczne, różne piętra gałązek. Naprawdę piękny jest ten misyjny park!

Podziwiam też pracowitość O. Teofila, który pomimo rozlicznych zajęć, znajdzie zawsze czas dla kwiatów!

Dom misjonarzy nie nadzwyczajny. Tak budowano 50 lat temu. Najstarsza część domu, obecnie przeznaczona dla gości, budowana z cegły suszonej na słońcu. Reszta z kamienia, którego tu nie brakuje i z palonej cegły.

Na tę najstarszą część misji przypuściły atak termyty. Za jedną noc wyniosły ścianę działową. Jest ich tak dużo, że nikt nie odważy się z nimi walczyć za pomocą DDT. Strujesz

milion, co ta jest wobec miliarda! Zresztą matka termitów składa w ciągu doby 100.000 jaj! Nie ma więc sposobu na wyludnienie kopca termitów!

Przed zapadnięciem nocy przyjechali do nas dwaj ojcowie Biali, zapaleni myśliwi. Zapraszają mnie na polowanie na antylopy. Nie lubię rozlewu krwi, ale na tę wyprawę miałem ogromną ochotę. Tam, gdzie są antylopy i gazy lew, a miałem ogromną ochotę spotkać się (z bezpiecznej odległości) z królem zwierząt. Wzgląd na dzisiejsze Święto, które od lat najmłodszych zapamiętałem jako największe, bo nawet izby nie wolno było zamiatać, zrezygnowałem. Zamiast na antylopy, wybrałem się na storczyki, a po komplecie udałem się na spoczynek. Wczorajsza nie przespana noc sprawiła, że we śnie nie przeszkadzały mi ani moskity, ani ćmy, ani wieczorny koncert afrykańskich ptaków.

Było już dobrze po północy, gdy posłyszałem dziwny grzmot, coś jakby start gigantycznego odrzutowca, potem nie dające się wyrazić słowy stękania albo przerywane jęki jakiegoś niezwykle olbrzyma i nagle zakołysał się dom! Ze ścian poleciał tynk, z umywalki spadł z łoskotem flakon z rozkwitłym storczykiem!

Jezus Maria! Trzęsienie ziemi! Tak, to było trzęsienie ziemi! W mgnieniu oka oceniłem sytuację: domek parterowy z gliny, zamiast sufitów – bananowa mata, mogą mi spaść na głowę najwyżej wiązania dachowe. Poleciewszy duszę Bogu, nakryłem głowę kołdrą. Po kilkudziesięciu sekundach, które zdały się wiecznością, grzmot zaczął się oddalać, ziemia przestała drżeć, ale serce nie przestało kołatać! Jakiś niewytłumaczalny strach przeniknął mnie do głębi, poczułem się tak słaby, że nie byłem w stanie uczynić żadnego ruchu, coś jakby prąd elektryczny obezwładniło moje mięśnie i sparaliżowało nerwy! Do rana nie zmrużyłem oka. „W Burundi trzęsienie ziemi, to zwyczajna rzecz” – uspokajali mnie ojcowie, można się do tego przyzwyczaić, to nie pierwszy raz.

Nikomu nie przyznałem się, że jadąc do Burundi, między innymi miałem i to pragnienie, aby przeżyć trzęsienie ziemi, takie niewielkie, powiedzmy 4 stopnie w skali Richtera. Ale myślałem sobie: gdzieżby dobry Bóg spełniał takie głupie zachcianki! A jednak! I jestem Bogu za to ogromnie wdzięczny, bo nigdy jeszcze, nawet w czasie burzy na Morzu Śródziemnym, nie odczułem tak jak tej nocy swojej małości wobec potęgi Boga-Stworzyciela! W Polsce – drugi Dzień Świąt, tu w Burundi – zwyczajny dzień pracy. Murarze przyszedli do roboty. Po Mszy wybieramy się do Tailles de Nuakazu i do Chtes de Shanga. Są to dwie osobliwe atrakcje turystyczne. Wodospady Shanga i potężne wąwozy Nuakazu.

Opowiem o nich po powrocie.

Raz jeszcze Drogiego Ojca pozdrawiam i szczęśliwego Nowego Roku życzę.

O. Bogusław Woźnicki

List O. Bartłomieja Kurzyńca:

Mpinga, 20.12.1976

Kochany Ojciec Bogusławie!

Najpierw najserdeczniejsze życzenia świąteczne dla Ojca i dla wszystkich pomocników w dziele Ewangelizacji Burundi! Niech Boże Dziecię błogosławi i sił dodaje w trudnej pracy, dzięki której my tutaj w Burundi możemy egzystować i innym pomagać.

Jak Ojciec wie, nie dostałem się na kurs języka. Nie rozpaczam jednak, ale uczę się pracy misyjnej pod kierunkiem doświadczonych misjonarzy jak O. Eliasza, O. Teofila i O. Sylwana. Uczę się również języka, gdyż w lutym mam zagwarantowane miejsce na kursie.

Już Mszę św. odprawiam w miejscowym języku, z dziećmi również się dogadam, ale na homilię to muszę sobie trochę poczekać. Bardzo dobrze opanowała ten trudny język S. Zenobia. Potrafi nie tylko się porozumieć z Czarnymi, potrafi wygłosić wcale mądrą homilię w tym języku, ale nawet, jak zajdzie potrzeba, wykłócić się z nimi.

Przed świętami egzaminowała jednego czarnego katechumena. Niewiele umiał, więc go nie dopuściła do chrztu. Ten mówi jej, że to niesprawiedliwość. Małe dzieci nawet mówić nie umieją, a proboszcz dopuszcza je do chrztu, a on przecież umie Ojciec nasz, Zdrowaś Maryjo i Wierzę w Boga, wobec tego powinien być do chrztu także dopuszczony. Nie wiem jak się to wszystko skończyło, ale zazdrościłem, że ona już klócić się potrafi, a ja ledwo mogę Mszę odprawić.

Gdy Ojciec będzie wysyłał następne paki, to proszę koniecznie przysłać nam krótkofalówki. Posługujemy się alfabetem Morse-go, ale nie wszyscy dobrze odczytują i parę dni temu mieliśmy zabawną historię, gdyż podałem, że nam w czasie trzęsienia ziemi wypadły drzwi, w Musongati odczytali, że nas napadły lwy!

Paki moje przyszły, można powiedzieć, w idealnym stanie. Ze sklejki mam stół, krzesła, etażerkę. Co za wspaniały materiał! Czekamy na następne. Podobno w tym roku wysłał ich Ojciec aż 62! Czyli, że 25 jeszcze w drodze,

Atmosfera dla nas nowicjuszy na misji bardzo przyjazna. Czuję, że mnie kochają, a to zachęca człowieka do większego jeszcze wysiłku. W Musongati byłem tylko kilka dni. Tam też radośnie. Bardzo pogodny jest O. Kamil, chociaż przeżył tak wielką tragedię podczas swoich zasłużonych wakacji. Przełożony tutejszej misji żartował, że się trochę o niego obawia, bo często starzy Murzyni i stare Murzynki, te, które jeszcze znają smak ludzkiego mięsa, na jego widok oblizują się i gładzą po brzuchach! Swoją drogą, że O. Kamilowi Afryka wyjątkowo służy. Ja straciłem wprawdzie parę kilogramów na wadze, ale czuję się dobrze i myślę, że przy Bożej pomocy i przy moich dobrych chęciach będzie ze mnie nie najgorszy misjonarz.

Niech Drogi Ojciec pomodli się za mnie, bym nie zawiódł ani Boga ani ludzi. Czekamy jeszcze na jednego misjonarza. Niech Ojciec koniecznie kogoś do nas zwerbuj.

Serdecznie pozdrawiam, za wszystko w imieniu naszej misjonarskiej braci dziękuję i pozdrawiam wszystkich Przyjaciół naszej misji

O. Bartłomiej